Listopad — Grudzień 1933

# NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXIV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

*Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.*

## *T R E Ś Ć:*

# DO SZANOWNYCH CZYTELNIKÓW „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI“.

Składając niniejszem Szanownym Czytelnikom najszczersze życzenia noworoczne, pozwalamy sobie imieniem wydawnictwa i Koła jego Przyjaciół zwrócić się do Czytelników, podzielających nasz światopogląd, z następującym apelem.

W ciągu przeszło trzyletniego już swego istnienia, jako ośrodek pewnej akcji propagandowej i czynnej, wykazała „Nasza Przyszłość“ w każdym razie pewną celową konsekwencję w dążeniu do osiągania pozytywnych rezultatów w szeregu konkretnych zadań o charakterze ogólnej użyteczności państwowej i narodowej, które, po odpowiedniem przygotowaniu, za cel sobie kolejno postawiła. Rzut oka wstecz na te lata minione wykazuje wszystkim, którzy w tej akcji bliższy lub dalszy udział brali, że praca ta nie idzie na marne, ale mimo różnych trudności, jakie w dzisiejszych warunkach napotykać musi, rozwija się jednak pomyślnie i trwale, chociaż nie we wszystkich dziedzinach w tem samem tempie.

Nie zajmując się sprawami polityki bieżącej, bo to rzecz, na którą bezpośrednio wpływu mieć nie możemy, ani szczegółami programu i życia gospodarczego, bo to jest zadaniem odpowiednich sfer fachowych, stworzyła jednak „Nasza Przyszłość“ drukiem, słowem i — gdzie było można — także czynem ośrodek pracy specjalnej, w dziedzinach, ogółem przez opinję publiczną i działalnosć stronnictw politycznych lub grup zawodowych w znacznym stopniu pominiętych, stanowiących jednak podwaliny dla każdej dalszej, już więcej szczegółowej pracy. W tych

pewnych dziedzinach wytyczyła „Nasza Przyszłość“ stopniowo kierunki działania i konkretne cele, wiadome sympatykom naszym z licznych zebrań i komunikatów i stara się przyciągnąć do tej pracy wszystkie sfery i czynniki, które tylko mogą być w danych sprawach użyteczne i dobrą wykażą wolę.

Osiągnęliśmy już wiele, jak na dzisiejsze, nader ciężkie warunki — i to bardzo niewielkimi środkami, bez żadnej sztucznej, krępującej organizacji, a jedynie tylko pewną apostolską metodą i przykładem, oraz „dyktaturą idei“, której chętnie i sprawnie podporządkowują się ci wszyscy, którzy do akcji naszej zbliżyli się i głębiej ją rozumieją.

W ostatniem jej stadjum rozwoju wysunął się na czoło różnych naszych zadań przedewszystkiem światopogląd katolicki, który zresztą stanowił od początku fundament „Naszej Przyszłości“. Ale w miarę postępu pracy, rozważań i zbieranego doświadczenia na różnych polach akcji publicznej, usiłowania racjonalnego podejścia do różnych problemów nasunęły nam coraz głębsze przeświadczenie, że żadne z praktycznych zadań państwowych, żaden donioślejszy, trudniejszy, skomplikowany problem nie dadzą rozwiązać się racjonalnie bez wyraźnego i mocnego wysunięcia naprzód idei katolickiej.

Można ostatecznie prowadzić jakąś chwilową akcję polityczną, lub zabiegać o chwilowe, nietrwałe złagodzenie jakiejś przygodnej bolączki gospodarczej, negliżując moment religijny — ale już całkiem niepodobna dokonać czegoś trwałego, na większą skalę, o głębszym rezultacie, bez tego jedynie niewzruszalnego i nieomylnego fundamentu, jaki dają dogmaty i etyka katolicka.

Stąd też „Nasza Przyszłość‘, jak to widocznem jest z szeregu zwłaszcza ostatnich jej tomów, postawiła sobie za wyraźny cel usiłowanie wcielenia idei katolickiej w sprawy świeckie i to nawet takie, z których moment religijny był dotąd bezmyślnie wykluczony, jako rzekomo zbędny.

W tym też kierunku chcemy dalej działać, tworząc specjalną szkołę. A gdyby miały kiedykolwiek zajść okoliczności, w których trzeba byłoby bronić ładu społecznego i państwowego, opartego na prawie własności i silnym ustroju rodzinnym, wówczas niezmierna i praktyczna doniosłość momentu religijnego w polityce i gospodarce ukaże się dopiero w całej pełni nawet tym obojętnym, którzy go dotąd nie doceniali.

Chodzi więc teraz o to, aby rok nadchodzący stał się dla akcji „Naszej Przyszłości" w różnych kierunkach okresem energicznego rozwoju i rozszerzeniem zapoczątkowanych dotąd rezultatów. A to może ułatwić tylko zbiorowe współdziałanie Sympatyków naszego wydawnictwa. Bo jeżeli „Nasza Przyszłość" cieszy się z jednej strony rzadkim i bezcenym przywilejem całkowitej niezależności od jakichkolwiek grup politycznych i finansowych, to z drugiej strony środki na swą działalność i ekspansję może czerpać tylko z grona swych Przyjaciół, którzy, w należytem zrozumieniu sprawy, zechcą wspólnie przyczyniać się do swego własnego dzieła. Wszak „Nasza Przyszłość" jest zbiorowem dziełem intelektu i ofiar materjalnych Koła swych Przyjaciół. A Koło to ma widomy ośrodek w postaci wydawnictwa, ale nie ma żadnych statutów i widomych granic. I tak właśnie jest dobrze.

Mimo ciężkich czasów wielkie nieraz sumy marnowane są na cele i przedsięwzięcia, głośno reklamowane, bez istotnego pożytku. A „Nasza Przyszłość" złożyła dowody, że stokroć mniejszymi środkami potrafi odpowiednią metodą działania daleko skuteczniej poruszyć opinję publiczną i realizować doniosłe, całkiem konkretne cele. I w roli tej nie zawiedzie, nie ugnie się przed żadnym oportunizmem, przed żadną konjunkturą, ale prowadzić będzie swe dzieło z coraz większym rezultatem na wszystkich polach, stanowiąc twardą, niewzruszoną ostoję w całym współczesnym

chaosie zmagań, zmian nastrojów i błędnych prądów — o ile głębsze zrozumienie, tężyzna i celowa solidarność jej zwolenników staną na wysokości swego zadania, dając jej odpowiednie, solidne, wystarczające oparcie.

Dlatego mamy zaszczyt zaapelować do Czytelników „Naszej Przyszłości“, którzy z jej akcją sympatyzują, aby

1) zechcieli przystąpić do Koła Przyjaciół wydawnictwa i jego akcji, deklarując stałe wkładki — subwencje w wysokości według uznania i możności indywidualnej, mając na uwadze powagę naszych zadań i celów,

2) wziąć czynniejszy udział piórem i współdziałaniem w naszych pracach i starać się o rozszerzenie zasięgu naszych zwolenników, a zwłaszcza o pozyskanie dla tych celów ludzi aktywnych i wartościowych.

Dotychczasowe Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości“, rozmieszczone niemal równomiernie we wszystkich okolicach kraju, funkcjonuje bardzo dobrze, ale potrzebuje rozszerzenia. A uczestnictwo w Kole nie zobowiązuje do niczego więcej, jak tylko do tego, co każdy uczestnik uzna dla siebie za wskazane. Jest to najwygodniejsza i zarazem najskuteczniejsza forma swobodnej kooperacji nad realizacją doniosłych dla ogółu zamierzeń i obrony przeciw różnym niebezpieczeństwom nowoczesnych konjunktur.

Ale, chcąc mieć rezultat, trzeba sobie na niego zapracować. Błędnem jest mniemanie, niestety rozpowszechnione, jakoby korzystne dla jednostki i kraju położenie dało się bez trudu wypolitykować. Niechże w okresie, kiedy głośno mówić się zaczyna o rzekomym upadku tężyzny elity społecznej w Polsce, Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości“ dowiedzie konkretnym czynem, że ta elita — prawdziwa elita — jednak jeszcze nie zginęła!

**Redakcja „Naszej Przyszłości“**

# NA TORACH SPRAWY UKRAIŃSKIEJ.

## SPRAWOZDANIE Z OBIADU DYSKUSYJNEGO KOŁA PRZYJACIÓŁ „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI".

Powyższy temat zgromadził we środę 22-go listopada w salonach Resursy Kupieckiej w Warszawie grono uczestników Koła Przyjaciół N. P. z miasta i prowincji. Były obecne także, jak zwykle, pewne osobistości z poza Koła, zainteresowane tematem, w charakterze gości.

Dyskusję otworzył redaktor wydawnictwa, dr. Jan Bobrzyński, w następujących słowach:

„Otwierając pierwszą w bieżącym sezonie pracy politycznej dyskusję na zebraniu przy wspólnym stole obiadowym i witając imieniem redakcji szanownych uczestników Koła Przyjacił wydawnictwa, oraz sympatyzujących z niem gości, którzy z różnych stron kraju raczyli przybyć na zebranie, muszę przedewszystkiem podnieść szczególny walor pragmatyczny tematu, jaki nas tu dzisiaj zgromadził. Gdy bowiem dwa poprzednie nasze obiady dyskusyjne — w marcu i maju tego roku — poświęcone sprawie niemieckiej i rosyjskiej, miały i mogły mieć z natury rzeczy charakter raczej akademicki, conajwięcej tylko wskaźnikowy dla kierunku publicystycznego na łamach naszego wydawnictwa, to obecny temat, ukraiński, stanowi, jak wiadomo, przedmiot nietylko literackiej, ale i czynnej, celowej akcji „Naszej Przyszłości" od przeszło trzech lat.

Stąd też, nie przesądzając wyników dyskusji, mogę na tem zebraniu przedstawić przedewszystkiem sprawozdanie z naszej dotychczasowej akcji w sprawie ukraińskiej. I to sprawozdanie, złożone imieniem sekcji ukraińskiej Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości", a reasumujące praktyczne rezultaty naszego działania, powinno oczywiście stanowić

oś dzisiejszej dyskusji — i to tembardziej, że rezultaty te zawierają wprost bezcenny dla nas materjał doświadczenia, który wskazuje nam już jasną i chyba nieomylną drogę, po której kroczyć winna z niezachwianą konsekwencją myśl i akcja polskiej elity intelektualnej w dziedzinie kształtowania się stosunków polsko-ukraińskich.

---

Aby jednak wszyscy, obecni tu szanowni panowie, z których niejeden, znając tylko nasz miesięcznik, nie miał jednak sposobności bliższego zaznajomienia się z charakterem i akcją naszego grona, mogli dokładniej zrozumieć zarówno całokształt naszej pracy i jej metody, jak i powody, dla których także i ukraińskim problemem się zajmujemy, uważam za wskazane i nawet konieczne na dzisiejszem, już piątem z rzędu zebraniu obiadowo-dyskusyjnem, przedstawić szanownym panom w krótkim, ogólnym zarysie właściwy charakter, istotę i cele akcji, rozwijającej się stopniowo od paru lat ostatnich pod firmą „Naszej Przyszłości“, oraz rzeczywiste warunki, w jakich akcja ta pracuje.

Zbyt wiele bowiem całkiem mylnych przekonań utrzymuje się po dziś dzień jeszcze w powierzchownej opinji publicznej o naszej sprawie, abym mógł nie skorzystać z okazji stanowczego ich sprostowania w tak licznem gronie, chociaż powinna to była uczynić już dawno dostatecznie wyraźna i lapidarna treść trzydziestu trzech tomów wydawnictwa, które dotąd się ukazały.

Tytuł „Nasza Przyszłość“ oznacza w szerszym zakresie przyszłość Polski, a w węższym przyszłość produktywnej roli światopoglądu konserwatywnego we wszystkich dziedzinach życia, pracy publicznej i współdziałaniu w kształtowaniu losów państwa. Tytuł ten ma nadto inne jeszcze, bardziej nadrzędne znaczenie, które chyba aż nadto wyraźnie z łamów naszego wydawnictwa przebija: cho-

dzi o przyszłość, jaka czeka nasze społeczeństwo i świat cały wskutek szalejącej w dzisiejszej epoce ze szczególnem natężeniem walki idei dobrego i złego — a więc wszelakich pierwiastków wzniosłych, konstruktywnych, religji, ładu społecznego, umiaru, wyższej etyki, twórczości i zdrowego rozsądku z gangreną doktrynerstwa, indyferentyzmu, ateizmu, egoizmu, niewoli społecznej, destruktywnego radykalizmu, demoralizacji i wszelakich systemów wywrotu. Jak z tej walki wyjdzie ludzkość wogóle, a społeczeństwo polskie w szczególności, to stara się „Nasza Przyszłość“ w miarę możności przedstawić, śmiało wskazać, a nawet pewną pozytywną inicjatywą na różnych polach na racjonalne, zdaniem naszem, tory wdrożyć.

A takiemu zadaniu, powiedzmy jasno, nie będzie wstanie podołać w całości wyłącznie tylko rząd państwa. Żaden bowiem rząd nie byłby wstanie przy bierności społeczeństwa wszystkiego za nie uczynić. Ale i w samem społeczeństwie nie będzie wstanie sprostać tym zadaniom żadna poszczególna partja polityczna, gdyż każda z nich zaabsorbowana jest przedewszystkiem pewnym doraźnym aktualizmem i z tego względu nie może wyrobić w sobie głębszego zainteresowania dla dalej sięgających zadań i celów. Zresztą mam wrażenie, że wraz z widocznym już wszędzie zmierzchem parlamentaryzmu, w dotychczasowem tego pojęcia znaczeniu, jesteśmy świadkami zmierzchu także i instytucji stronnictw politycznych, wraz z całym systemem ich organizacji, celów, ambicji partykularnych i taktyki polityczno-społecznej.

Stąd też akcja publicystyczna i czynna, zrodzona pod firmą „Naszej Przyszłości“, jakkolwiek w pierwszych swych początkach wyrosła na ogólnym tle obozu konserwatywnego w Polsce, a ściślej mówiąc w łonie najstarszego, par excellence intelektualistycznego z pośród naszych grup zachowawczych Stronnictwa Prawicy Narodowej, jednak już po kilku pierwszych miesiącach swego istnienia zaczęła

z tego obozu coraz bardziej niezależnie wyrastać, oddalać się zwłaszcza od perypetji codziennej polityki aktualistycznej, aż wreszcie pewnym stopniowym, spokojnym, organicznym procesem i rozwojem uniezależniła się od niego zupełnie, stając się wyrazem nadrzędnego, integralnego, ściśle objektywnego konserwatyzmu, dostępnego dla wszystkich, trzeźwo i konstruktywnie myślących ludzi w kraju.

Nikt więc już dzisiaj nie ma, poza specjalnem kołem Przyjaciół pisma, żadnego na nie wpływu, ani moralnego, ani redakcyjnego, ani materjalnego. Stoimy całkowicie na własnej platformie, z zupełną swobodą pisania i działania, ale przez to właśnie i z całkowitą odpowiedzialnością za to pisanie i działanie. Wydawnictwo jest moją prywatną własnością, a myśl rodzi się w niem ze swobodnej inicjatywy i wymiany zdań między wydawcą pisma i Kołem Przyjaciół, wśród którego dobierają się sami odpowiedni ludzie dla pełnienia poszczególnych zadań literackich lub czynnych. Żadne więc stronnictwo, żadna grupa finansowa, żaden wpływ jakiegokolwiek czynnika, sfery lub kapitału nie stoi nad nami. Co przyjaciele wydawnictwa w porozumieniu z redaktorem postanowią, to się pisze i robi.

Wydawnictwo samo dąży do urobienia szkoły pisarskiej w różnych, pozytywnych kierunkach: moralno- religijnym, społecznym, ustrojowym, zagranicznym, narodowościowym i gospodarczym, ze szczególnym pietyzmem dla praktycznego doświadczenia, jakiego dostarcza obficie historja, oraz pilna obserwacja obecnego rozwoju stosunków. Pragniemy pchnąć społeczeństwo w kierunku szkolenia się w szczególnie trudnej sztuce konsekwentnego rozwiązywania ważnych zagadnień państwowych na dłuższą metę. Czynna zaś akcja, której ośrodek i organ wydawnictwo stanowi, a która z łam pisma występuje najpierw na forum wewnętrznych narad w gronie jego zwoleninków, potem na forum publiczne, obejmuje stopniowo takie właś-

nie ważne zadania z różnych dziedzin, które nie mogą być rozwiązywane dorywczo, jednem posiedzeniem sejmu, jednem rozporządzeniem rządu lub jedną konferencją gospodarczą, ale wymagają dłuższego przygotowania i bardzo konsekwentnej roboty, aby w bliższej lub dalszej przyszłości wydać pożądane owoce.

Niektóre z tych naszych czynnych zadań i konkretnych celów realizują się już na szerszą skalę. Czytali Szanowni panowie w październikowym tomie pisma o wielkich uroczystościach ku czci Królowej Jadwigi, które w nieprzerwanej linji idą pochodem przez całą Polskę, od Krakowa przez Warszawę, Wilno, Poznań, Jasną-Górę do Rzymu, koordynując cały Episkopat, Rząd i wszystkie bez wyjątku sfery społeczeństwa w wielkiej akcji religijnej i historycznej, nie pozbawionej także doniosłego ogólno-politycznego znaczenia w kraju i zagranicą. To zarazem i najskuteczniejsza, gdyż pozytywnym faktem ufundowana obrona przeciw wszelakim zakusom wywrotowym.

Powtóre, pamięta z pewnością wielu z obecnych tu dziś panów, jak rok temu, na tem miejscu, podnieśliśmy niezmiernie doniosłą dla przyszłości państwa sprawę — doniosłą z politycznego i z gospodarczego punktu widzenia — aby Polska, pomijając wszelkie fantastyczne koncepcje paneuropejskie, naddunajskie i im podobne, zaczęła realnie myśleć o sobie, dążąc z własnej inicjatywy do otoczenia się pewnym systemem przymierzy, do wytworzenia dokoła siebie — jak to nazwaliśmy wówczas — pierścienia bezpieczeństwa. Wysunęliśmy i uzasadnili następnie szeregiem artykułów i konferencji propagandowych, jak niemniej także pewną propagandę zagraniczną, koncepcję bloku dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy, któryby objął państwa bałtyckie, Litwę, Polskę, Węgry i Małą Ententę.

Koncepcja ta, przyjęta przez niejednego z początku z lekceważącym uśmiechem — bo ludzie wierzą dzisiaj często tylko w to, co bezpośrednio przed nimi gotowe na ta-

lerzu leży — zaczyna się wspaniale realizować! Pakt londyński, zawarty w lecie tego roku, złączył już Polskę pewnym rodzajem przymierza z Łotwą, Estonją, Finlandją i Rumunją, a obecnie rządy Rumunji, Jugosławji i Bułgarji porozumiewają się właśnie w sprawie ściślejszego kontaktu, który w naturalnej konsekwencji może doprowadzić do akcesu i tych dwóch ostatnich państw do bloku. Podobny prąd objawia się i w Czechosłowacji, zwłaszcza wobec niebezpieczeństwa niemieckiego.

Spełnia się więc to stopniowo, co piórem i słowem staramy się propagować. A zręczna dyplomacja naszego rządu, która umiała zjednać nam nawet groźnego wroga i zerwała z krępującą taktyką poddawania się Polski dyktatowi z zachodu, powiększyła koncepcję środkowo-wschodniej Europy dalszym, olbrzymim blokiem przymierza, rozciągającym się do Pacyfiku, Zatoki Perskiej i Morza Śródziemnego, tak, że w rezultacie jedna czwarta część lądu na globie wchodzi w skład tej politycznej „unji wschodniej", w której Polska z szeregu względów niejako przodujące zajmuje stanowisko. Widzą więc z tego, szanowni Panowie, że trafnie „Nasza Przyszłość" rozwój stosunków wyczuła i słusznie w tym kierunku na swoim odcinku starała się pracować.

W zakresie zagadnień gospodarczych uważaliśmy, że nie jest naszą rzeczą mieszać się do szczegółów, gdyż jest to zadaniem fachowych organizacji zawodowych, a natomiast położyliśmy nacisk na badanie ogólnych, głębszych przyczyn panującego beznadziejnie kryzysu i wskazanie podstawowej platfromy, na której dopiero właściwy, skuteczny start w kierunku stopniowej naprawy życia ekonomicznego mógłby nastąpić. Tworzy się w tym zakresie na łamach „Naszej Przyszłości" piórami niektórych autorów specjalna szkoła, analizująca objektywnie rezultaty dotychczasowej ideologji gospodarczej. A pracy tej nie należy lekceważyć, gdyż wiadomo, że wszelkie trwalsze i głębsze

przemiany w różnych dziedzinach życia zapoczątkowane bywają z reguły powstaniem pewnej szkoły, działającej najpierw piórem i słowem, zanim słowo to w czyn się wcieli. Oczywiście, nie czas tu, ani miejsce na tem zebraniu poruszać bliżej tę sprawę, której poświęcimy jeden z najbliższych naszych wieczorów dyskusyjnych w całości.

W dziedzinie ustrojowej opracowaliśmy przedewszystkiem i ogłosili kompletnie skodyfikowany projekt Konstytucji, oparty o światopogląd zachowawczy. Nie uważamy tej pracy za skończoną, przeciwnie, dopiero za pierwsze, dość jeszcze niedoskonałe jej wydanie. Podjęliśmy się jej dla samej zasady, aby w obecnym okresie dążeń do naprawy ustroju państwa projektu konserwatywnego nie zabrakło. Położyliśmy w projekcie tym specjalny nacisk na skodyfikowanie i konsekwentne przeprowadzenie we wszelkich dziedzinach ustrojowych zasady mocnego ugruntowania prawa własności prywatnej, czemu dalsze poświęcamy ciągle prace, wychodząc z założenia, że w społeczeństwie polskiem musi być choć jedna placówka, któraby zdecydowanie, bezkompromisowo tej zasady przeciw wszelkim atakom i zakusom radykalizującego nowatorstwa broniła. Uświadomienie w tym kierunku wzrasta i mamy nadzieję, że praca nasza w tym ważnym zakresie nie będzie daremną, mimo wielkiego jeszcze narazie oportunizmu różnych sfer umiarkowanych, które z lekkiem sercem pragną popisywać się wobec szerokich mas swą „postępowością“.

Ważnym wreszcie zakresem naszego działania są problemy narodowościowe, a w szczególności dwa z pośród nich, t. j. litewski i ukraiński. Wyłoniły się one w naturalnej, niejako organicznej konsekwencji naszej koncepcji, opartej na dodatnich wzorach dawnych dziejów Polski, mianowicie przywrócenia jej na drodze konstruktywnej, nawskroś pokojowej, owej siły atrakcyjnej, którą niegdyś tak daleko na sąsiednie krainy i ludy promieniowała. W dziedzinie litewskiej tworzy się pod naszą egidą jedno-

stronny narazie „Związek Przyjaciół Litwy“, mający za zadanie wytworzenie w kraju prolitewskiej atmosfery i lepszej znajomości litewskiej kultury — a w dziedzinie ukraińskiej rozwinęliśmy intensywną akcję, którą w krótkim zarysie mam zaszczyt szanownym panom niniejszem przedstawić.

---

Nie będę kreślił tu i powtarzał naszego zasadniczego programu w tej sprawie, gdyż uczyniliśmy to wielokrotnie w ciągu przeszło trzech lat ubiegłych na łamach naszego pisma, ostatnim razem bardzo wyraźnie i dokładnie w numerze październikowym bieżącego roku. Kto ciekaw, niech raczy tam zajrzeć.

Dlatego powtarzam tutaj tylko, jako rzecz, w tej sprawie dla nas zasadniczą i samą przez się zrozumiałą, że dążenie do niepodległości i własnej państwowości ze strony kilkudziesięciomiljonowego narodu, spoglądającego na przeszło tysiącletnią swą historję, uważamy za sprawę słuszną i sprawiedliwą. Wszak Polska walczyła zawsze za wolność własną i ludów, tej wolności pragnących. Tem tłumaczy się też nasza duchowa spójnia z Francją, która od czasów Wielkiej Rewolucji także w tym duchu walczyła.

Komplikuje się dzisiaj ta sprawa wskutek paktu londyńskiego, który złączył nas pewnego rodzaju przymierzem z Rosją i który dlatego przekreślił narazie aspiracje ukraińskie. Ze względu na olbrzymie znaczenie tego paktu dla bezpieczeństwa Polski i światowego pokoju trudno nam obecnie traktować sprawę ukraińską z jakiegoś szerszego punktu widzenia, trudno zwłaszcza snuć jakiekolwiek realne perspektywy na przyszłość. W każdym jednak razie stoi przed „Naszą Przyszłością“ ważne, ciężkie, ale przez to właśnie bardzo zachęcające zadanie, które zresztą postawiliśmy sobie od samego początku, jako specjalny nasz odcinek działania: wyszukanie i dotarcie do prawdziwej elity

intelektualnej w społeczeństwie ukraińskiem w obrębie państwa polskiego i zachęcenie tej elity do współpracy z nami, w założeniu istotnej wspólnoty głębszej racji stanu obu narodów.

W tem założeniu wystąpiliśmy najpierw zaraz w pierwszym tomie naszego pisma — w kwietniu 1930 r.— z artykułem p. t. „Problem Ukrainy“, w którym znajduje się następujące, grubym drukiem uwypuklone zdanie:

**„Muszą najpierw Ukraińcy stać się w Polsce elementem twórczym na rzecz państwowości polskiej, aby mogli kiedyś później stać się nim na rzecz państwowości własnej“.**

Kilka lat upłynęło od tej chwili, leży za nami długi szereg prac i artykułów, wymienionych ze stron obu, długi szereg konferencji i zjazdów w mniejszem lub większem gronie, obszerna korespondencja prywatna i dostateczne już narazie doświadczenie praktyczne—a jednak przy tem początkowem twierdzeniu stoimy i stać będziemy. Bo w niem kulminuje cała istota walnego zagadnienia „być albo nie być“ dla ukraińskiego narodu, a równocześnie pierwszorzęde zagadnienie dla państwa polskiego.

Utworzywszy w gronie przyjaciół naszego pisma specjalną sekcję dla konsekwentnego traktowania sprawy ukraińskiej, a głównie oczywiście sprawy tej na terenie Małopolski Wschodniej, czyli Polskiej Rusi Czerwonej, wydaliśmy najpierw ogólnie ujęty „List do ukraińskiego konserwatysty“, uważając, że postępowe światopoglądy, czy stronnictwa wśród obu narodów trudniej będą mogły jakieś trwalsze zapoczątkować porozumienie, które natomiast łatwiejszem być powinno na platformie spokojnej, trzeźwej, objektywnej dyskusji między wzajemną elitą zachowawczą. Następnie zwróciliśmy się do Ks. Biskupa stanisławowskiego, Grzegorza Chanyszyna, który tam od długiego szeregu lat szczerze ukraińską, a zarazem wysokim duchem katolicyzmu natchnioną prowadził akcję w kie-

runku moralnego i kulturalnego podniesienia swego społeczeństwa i otrzeźwienia go z narkozy bezkrytycznego i bezużytecznego nacjonalizmu, cierpiąc wiele i nie bacząc na popularność.

Zastaliśmy dokoła niego pewien zastęp zwolenników, jakgdyby zaczątek grupy politycznej o nastawieniu konserwatywnem. Nawiązaliśmy z nią wymianę zdań, ofiarując nic więcej, jak tylko pewną pomoc naszego własnego doświadczenia w ideologji i metodzie konserwatywnej, która przez grono „Naszej Przyszłości“ reprezentowana jest już conajmniej w trzeciem pokoleniu.

Na skutek tej skromnej podniety z naszej strony owa grupa zwolenników polityki Ks. Biskupa Chomyszyna zaczęła się nieco szybciej i wyraźniej rozwijać w stronnictwo o cechach zachowawczych, aczkolwiek na szersze sfery zakrojonych, pod nazwą „Ukraińska Narodna Obnowa“. Sam zaś Ks. Biskup Chomyszyn wydał szereg znamiennych listów pasterskich i innych enuncjacji, wśród których najobszerniejszą i najgłośniejszą jest rozprawa p. t. „Ukraińska Problema“, wydana z początkiem bieżącego roku i ogłoszona przez „Naszą Przyszłość“ w polskiem tłumaczeniu. Rozprawa ta, z wielkim autorytetem, bardzo odważnie i lapidarnie ujęta, zrobiła wielkie wrażenie we wszystkich sferach i miarodajnych czynnikach polskich i ukraińskich. Znamiennem w niej zaś dla nas było to, że nie wahała się odnieść do pewnych cytat z „Naszej Przyszłości“.

W tym czasie również, na jednym z prywatnych zjazdów, który odbył się u mnie w Warszawie, w obecności Ks. Biskupa Chomyszyna, Ks. Biskupa-sufragana D-ra Latyszewskiego, delegacji Ukraińskiej Narodnej Obnowy, oraz licznego grona wybitnych konserwatystów polskich, których dla zetknięcia z tem gronem ukraińskiem pozwoliłem sobie zaprosić, powstała myśl, podniesienia po raz pierwszy przez p. D-ra Pogonowskiego, aby dla stworzenia głęb-

szej platformy współpracy obu stron przystąpić do stworzenia „Polsko-ukraińskiego towarzystwa naukowego“. Niechże nauka, bezstronna, idąca w imię prawdy dziejowej, utoruje pole porozumienia przynajmniej między elitą intelektualną polską i ukraińską, skąd pewien wpływ promieniować będzie niewątpliwie i na szersze sfery obu społeczeństw.

Do tej pracy przystępujemy teraz, zapraszając do niej polskich i ukraińskich uczonych i otwierając narazie szeroko dla odpowiednich rozpraw łamy „Naszej Przyszłości“, dopóki dalszy etap w postaci osobnego perjodyku naukowego nie zostanie osiągnięty. Formalne zaś założenie wspomnianego Towarzystwa uzależniamy celowo od oczywistego warunku, żeby odpowiednio silny wzajemny ruch naukowy najpierw się wytworzył, bez czego zakładanie instytucji byłoby przedwczesne.

Wogóle tendencją naszą w całej tej akcji, było ścisłe ograniczenie się do odcinka politycznie zachowawczego, oraz naukowego — gdyż tu tylko konserwatyzm i nauka mogą skutecznie działać, nie rozpraszając się daremnie po niebezpiecznem dla nich trzęsawisku całokształtu stosunków polsko-ukraińskich — a zarazem do wpływania na stronę ukraińską, aby zaczęła pracować z nami pozytywnie, porzucając zwykłą u Ukraińców taktykę podnoszenia krzywd, skarg, żalów, pretensji i ustawicznych żądań, czemu wszystkiemu przecież ani konserwatyzm polski, ani tem mniej „Nasza Przyszłość“, nie są wstanie w danych warunkach zadośćuczynić. Tłumaczyliśmy Ukraińcom, że u nas nie ma wprost pola na żadne targi i układy, gdyż ani „Nasza Przyszłość“ nie może im niczego obiecać imieniem narodu i państwa polskiego, ani szczupła grupa ukraińska nie może nam niczego obiecać imieniem swego społeczeństwa. Natomiast możliwa między nami pozytywna współpraca nad ugruntowaniem prawdziwego konserwatyzmu w społeczeństwie ukraiń-

skiem, opartego na realiźmie politycznym, na głębszej racji stanu, oraz na pracy naukowej, może stopniowo wznieść pewne sfery tego społeczeństwa na wyższy poziom, uczynić je użytecznemi i potrzebnemi dla Polski, a przez to właśnie uzyskać przynajmniej w jej granicach duże dla narodu ukraińskiego korzyści.

Niestety, stwierdzić muszę, że — przynajmniej dotąd — owa elita ukraińska, konserwatywna, czy naukowa, z którą mieliśmy sposobność wejść w kontakt zarówno na terenie Małopolski Wschodniej, jak i w Warszawie, wykazała po pewnym przeciągu czasu, że brak jej wyrobienia, wytrzymałości i konsekwencji, niezbędnych do prawdziwie twórczej, pozytywnej pracy w konkretnych, raz ustalonych celach. I tu i tam inicjatywa nasza spotkała się na początku z objawami entuzjazmu i zdawało się, że nareszcie stworzona zostanie obustronną dobrą wolą pewna, choćby szczupła, ale twarda piędź ziemi, na której oprzećby się mógł każdy rozumny Polak i Ukrainiec, pragnący wspólną, solidną przyszłość budować. Ale wnet i tu i tam, gdy już jakaś realniejsza współpraca dojść miała do skutku, gdy delegacja Ukraińskiej Narodnej Obnowy postanowiła wziąć udział w naszym wieczorze dyskusyjnym, a grono uczonych ukraińskich oświadczyło gotowość współdziałania w wyżej wspomnianym perjodyku naukowym polsko-ukraińskim, wystarczyła pewna zmiana konjunktury, nie mająca właściwie nic wspólnego z ustalonym przez nas wspólnie na długą metę programem, oraz jakieś drobne wzmianki dziennikarskie, z boku lansowane, aby wywołać nawet w tak wysoce intelektualnch sferach ukraińskich, z jakiemi mamy do czynienia, jeden z owych słynnych, tak dla psychiki ukraińskiej typowych zwrotów wstecz, czy — inaczej mówiąc — skoków w nicość, które tak trafnie charakteryzuje hr. Łoś w jednym ze swych wybitnych artykułów o mentalności ukraińskiej na łamach „Naszej Przyszłości“.

Nie były bowiem wstanie te poważne ukraińskie sfery przetrzymać bez zdenerwowania wrażenia paktu londyńskiego i polsko-rosyjskiego sojuszu, dopuszczając — zapewne, aby przypodobać się szerszym masom swego społeczeństwa — na łamach zaprzyjaźnionego dotąd z „Naszą Przyszłością“ czasopisma ukraińskiego, „Nowej Zorii“ niespodziewany atak na „Naszą Przyszłość“, a raczej na jakichś parę zwrotów, wypowiedzianych przed szeregiem miesięcy z tego miejsca, na obiedzie dyskusyjnym, w całkiem innej, wcale nie ukraińskiej sprawie, które jednak ktoś, nazbyt sprytny, potrafił nagiąć i spreparować do kwestji ukraińskiej i niesłychanie wyolbrzymić. A to znowu sparaliżowało początkowy entuzjazm innych poważnych Ukraińców dla już, już rozpoczynającej się naukowej z nami współpracy. Weszli w stadjum „pryncypialnych“ refleksji.

Wreszcie zaszedł fakt, niemniej, a może jeszcze bardziej charakterystyczny. Po zabójstwie urzędnika konsulatu sowieckiego we Lwowie, zgłosiło się do sądu ośmiu adwokatów z różnych stronnictw ukraińskich dla obrony mordercy przy rozprawie. Oczywista demonstracja polityczna, mająca zadokumentować solidarność wszystkich stronnictw ukraińskich z popełnionym mordem. Ale jeden z tych adwokatów, należący właśnie do stronnictwa konserwatywnego, powstałego pod egidą ks. Biskupa Chomyszyna, dozwolił na ogłoszenie w gazetach, że robi to z aprobatą ks. Biskupa! Tego już, tak jaskrawej demonstracji oportunizmu, niepodobna usprawiedliwić. Jest to bowiem w danych warunkach pociągnięcie nawskroś demagogiczne, przeciwne najprymitywniejszym zasadom konserwatyzmu. A nadto, jakąż krzywdę wyrządził ów adwokat ks. Biskupowi Chomyszynowi, którego wspaniałą rozprawę, piętnującą politykę ślepej nienawiści i wzywającą społeczeństwo ukraińskie do rozwagi i umiaru, czytaliśmy niedawno i ogłosiliśmy w polskim przekładzie w naszem piśmie!

Tem jednem pociągnięciem przekreślił niemal ów porywczy adwokat całe, trzydziestoletnie dzieło ks. Biskupa Chomyszyna. Bo pamiętam, jak ongiś, po morderstwie namiestnika Potockiego przez Siczyńskiego, wołał ks. Metropolita Szeptycki z ambony świętojurskiej: „Słuszną jest rzeczą domagać się sprawiedliwych praw dla swego narodu, ale przebóg — nie mordem!" A czyż ostentacyjne wystąpienie z obroną zabójcy, z publicznem powoływaniem się na aprobatę Biskupią, jest zgodne z tem, co ks. Biskup Chomyszyn przez lat trzydzieści z wielkiem zaparciem się wskazywał i działał?

Znając czcigodną postać ks. Biskupa Chomyszyna, nie mogę innego sądu wydać o tym fakcie, jak chyba ten tylko, że zaszło tu jakieś tragiczne nieporozumienie!

I jakąż korzyść polityczną, pomijając już stronę etyczną zamachu, może mieć naród ukraiński z bezmyślnego zabójstwa jakiegoś podrzędnego urzędnika sowieckiego we Lwowie? Żadnej — a raczej tylko szkodę. Bo sojusz polsko-rosyjski i porozumienie francusko-rosyjskie nietylko nie rozluźni się tą metodą, ale przeciwnie, tylko wzmocni. A ludzie, którzy mają aspiracje do konserwatyzmu, powinni byli sobie powiedzieć, że w takich warunkach właśnie tylko pozytywna współpraca z polskiem społeczeństwem może narodowi ukraińskiemu lepszą przyszłość gotować, a nigdy porywy rozpaczy, bezmyślne zbrodnie, lub dziwne demonstracje adwokackie!

Obecnie więc sytuacja jest taka, że nawet najbardziej umiarkowane sfery ukraińskie przyłączyły się w gruncie rzeczy do popularnego, a tak chorobliwego i politycznie niepraktycznego hasła sfer radykalnych swego społeczeństwa, iż od Polaków niczego nie wolno przyjmować, a wolno tylko ustępstwa gwałtem na nich zdobywać, że przeto każdy Ukrainiec, utrzymujący kontakt z Polakiem, jest zdrajcą swego narodu. I pod tem hasłem ugięła się widocznie także

najwyższe elita ukraińska. Nie wytrzymała pierwszej próby!

Wszystko to stanowi dla nas ów bezcenny materjał doświadczenia, o którym na wstępie wspomniałem, a który niestety — podkreślam: niestety — uzyskała „Nasza Przyszłość" po trzech latach kontaktu z pewną elitą ukraińską. To już nie dorywczy wynik jakichś przygodnych dyskusji, jakichś oderwanych usiłowań wywołania sielankowego nastroju „zgodnego współżycia" obu narodów, o czem tak często się słyszało i co z reguły na niczem się kończyło. W naszym wypadku, to rezultat głębszego, niejako organicznego oddziaływania na samą elitę ukraińską i to na odcinku nadrzędnym, bo tylko konserwatywnym i naukowym, gdzie żadnych powodów do tarć i targów i demonstracji nie było. A jak zareagowali ukraińscy uczeni ostatecznie na naszą propozycję współpracy nad stworzeniem wzajemnego naukowego zespołu, mającego działać bezparytjnie, objektywnie, w imię prawdy dziejowej? Po pierwszej chwili entuzjazmu, po nazwaniu naszej propozycji „doniosłym momentem historycznym", oświadczyli nam w parę dni potem, że nas nie potrzebują, gdyż mają zamiar stworzyć taki właśnie zespół naukowy sami, ze swej inicjatywy i zapraszać do niego Polaków! Nadto wytoczyli skargę, że polska Akademja Umiejętności nie powołuje ich na członków! A więc nowa „krzywda ukraińska"!

Dochodzimy w konkluzji i my także do przeświadczenia — w ślad za różnymi pisarzami polskimi, którzy podnosili już tę sprawę — że wszelkie awanse, czynione z naszej strony Ukraińcom, wszelkie nadskakiwanie im, wyciąganie ręki i zapraszanie do współpracy, to środki daremne, które tylko poniżają nas w ich oczach i poczytywane są przez nich w gruncie rzeczy, jako objaw słabości z naszej strony. Tą drogą nigdy nie dojdziemy do celu. Wszak na wszelkie objawy wyciągania ręki, na wszelkie rzewnoprzyjacielskie artykuły po różnych naiwnych polskich

perjodykach, na wszelkie próby współpracy mają Ukraińcy w gruncie rzeczy odpowiedź tylko w postaci zasadniczej nienawiści i moralnych lub nawet materjalnych pchnięć nożem w plecy. Innego rezultatu żaden jeszcze Polak nie osiągnął.

Pamiętam dobrze, jak nawet mój Ojciec, któremu w czasie sprawowania urzędu namiestnika Galicji zarzucali przeciwnicy polityczni nazbyt daleko idącą ugodowość wobec Ukraińców, oświadczył w poufnem gronie, po szeregu lat usiłowań: „Dochodzę niestety do przekonania, że z tymi ludźmi niepodobna się porozumieć!"

My zaś idziemy dalej, stwierdzając na podstawie kilku wieków historji, że nas ta dziwna mentalność ukraińska, negatywna wobec każdej okazji uzyskania drogą konstruktywną jakiejś pozytywnej dla swego narodu korzyści, przestaje już dziwić. Wszak jest to szczep, który od niepamiętnych czasów, od dziesiątków pokoleń, wychowuje się w bezpaństwowości. Odwykł więc od niej, odwykł od tego wszystkiego, co do państwowości prowadzi. Szczytem patrjotyzmu jest dla niego nawskroś zawsze negatywne wobec chwilowego losu stanowisko. A rezultatem tego jest fakt, że Ukrainiec nie był nigdy wstanie państwa sobie stworzyć, choć nieraz miał sposobność do tego.

Nie był wstanie stworzyć państwa Chmielnicki, pobiwszy Polskę, wtargnąwszy głęboko w jej granice i wymógłszy na niej wielkie koncesje i przywileje. I on nie umiał nic innego zrobić, jak poddawać się po kolei Polsce, Moskwie, czy Turcji. Nie umieli również stworzyć sobie państwa Ukraińcy z końcem wojny światowej, choć im w tem rząd niemiecki przy pomocy miljonowej armji chciał dopomoc, choć im nawet Ukrainę tę chwilowo stworzył i brzeskim traktatem zatwierdził, a bolszewicy, zagrożeni z różnych stron wojną domową, bardzo nikłemi tylko roz-

porządzali siłami. Nie umieli wykorzystać okazji — i wcale nawet jej nie zrozumieli, gdy Piłsudski gotował wyprawę na Kijów, a polska narodowa demokracja wyraźnie zarzucała mu ideę federalizmu, a więc i chęć wskrzeszenia Ukrainy, z Polską pewnymi węzłami związanej, ale bądź co bądź Ukrainy! Nie umieli i nie chcieli dopomóc do zrzucenia najgorszego jarzma — moskiewskiego.

Co robili przez ten okres cały? Konszachtowali przeciw Polsce z całym światem i palili polskie folwarki z tej i ztamtej strony kordonu. Dla konstruktywnego czynu w kierunku budowy państwowości wykazali zupełny brak zmysłu.

Nie rozumieją tego zupełnie Ukraińcy, że demonstracjami różnego rodzaju nie zbuduje się państwa, ani nawet nie poprawi się narodowego bytu, ale, że musi w tych celach działać przedewszystkiem pozytywna, konstruktywna praca całego społeczeństwa na wszystkich polach i we wszystkich okazjach. My, Polacy, pracowaliśmy tak pod obcym zaborem wśród najtrudniejszych warunków, pod krwawym nieraz terrorem, wyzyskując praktycznie, bez fałszywych ambicji, każdą okazję, każdą ulgę, umożliwiającą realną pracę dla Ojczyzny. I dlatego mamy dziś własne państwo, wznoszące się stopniowo do mocarstwowej potęgi w oczach świata. Ukraińcy. nierozsądną uwiedzeni ambicją, zastosowali w mentalności swej i taktyce system marksowski, który ongiś młodemu, wojującemu socjalizmowi zalecał nie przyjmować żadnych ustęp z rąk burżuazji, ale wszystko — dla zasady — na niej zdobywać. Stąd ten uparty duch negacji wobec wszystkiego, co z Polski pochodzi, wielce niepraktyczny z punktu widzenia ukraińskiej racji stanu. I dlatego Ukraina nie może się wznieść na poziom własnej państwowości i przy tym nastroju społeczeństwa, a nawet elity ukraińskiej, nigdy się na ten poziom nie wzniesie, choćby nawet najpomyślniejsze nastały w tym względzie konjunktury.

Dla przykładu przytoczę jedno tylko pytanie: czy Ukraińcy byliby wstanie dać Polsce wybitnych i lojalnych ministrów, jakich dali Polacy galicyjscy Austrji? Czy społeczeństwo polskie mogłoby się do takiego ministra Ukraińca z takiem zaufaniem odnosić, z jakiem odnosiły się do ministrów Polaków dynastja i ludy b. monarchji austro-węgierskiej?

Z pewnością nie — i w tem leży najlepsza, praktyczna ilustracja braku zmysłu państwowo-twórczego u tego nieszczęsnego narodu, który nie umie pozytywnie pracować dla siebie!

Jakież z tego wszystkiego wynikają dla akcji „Naszej Przyszłości" ostateczne konkluzje?

Przedewszystkiem ta, że program nasz w sprawie ukraińskiej ani o jedną jotę się nie zmieni. Jeżeli elita ukraińska traci nerwy pod wpływem pewnych konjunktur lub jakichś dorywczych wzmianek dziennikarskich i zajmuje wrogie przeciw Polsce stanowisko i na równi z żywiołami radykalnymi prowadzić zaczyna politykę rozpaczy, to my, polscy konserwatyści, nerwów tracić nie będziemy. Nas nie zrażą ani koziołki mentalności ukraińskiej, ani lekceważące gesty ukraińskich profesorów, ani agitacje ukraińskie zagranicą, ani strzały, bomby i łuny folwarków. Nie zbiją nas z tropu także owe rzewne, sielankowe artykuliki po różnych drobnych polskich pisemkach, które z zabawnym patosem nadskakują Ukraińcom, aby ich sobie zjednać za wszelką cenę. Z niewzruszoną konsekwencją pisać będzie „Nasza Przyszłość", jak dotąd w sprawie ukraińskiej pisała. Miesięcznik naukowy polsko-ukraiński wychodzić będzie, choćby bez współdziałania Ukraińców, jako narazie aneks do poszczególnych tomów naszego wydawnictwa. Przychylności naszej zasadniczej dla sprawy ukraińskiej nie zmienimy i każdej chwili powitamy z objektywizmem chęć współdziałania z nami poważnych sfer ukraińskich, jakgdyby nic nie zaszło.

Ale — jedną praktyczną naukę wyciągnąć należy z tego naszego kilkoletniego, ciekawego doświadczenia: nie trzeba Ukraińcom nadskakiwać! Nie trzeba, nawet dobrze im czyniąc, zabiegać zbyt gorliwie o ich względy. Nie trzeba prosić się niejako o łaskę ich współdziałania, jak to w mylnym romantyźmie politycznym robi wielu. To całkiem fałszywa taktyka, która w rezultacie poniża tylko godność „mocarstwowego narodu" wobec jednej z mniejszości narodowych w państwie i wywołuje z jej strony nawet gest lekceważenia. W ostatnim czasie powstał nawet dziwny prąd w polskiem społeczeństwie: krytycznej przesady wobec własnej historji i literatury w zabiegach o przychylność Ukraińców. Obniża się z grubą przesadą wartość dziejową Polski, chce się usuwać ze szkół arcydzieła naszej literatury, aby tylko przypodobać się masom ukraińskim. Tego się tym sposobem nigdy nie osiągnie, a masom tylko — w głowie przewróci! Zastanówmy się spokojnie i rzeczowo. Pragną Ukraińcy tego i owego, co im się nawet — zasadniczo rzecz biorąc — słusznie należy. Ale dążą do tego nienawiścią, gwałtem, terrorem i niepoczytalnymi wybrykami. Szkalują Polskę przed całym światem, gdzie i kiedy tylko mogą. Spiskują z najgorszymi wrogami naszego kraju. Tworzą stale ropiący wrzód w naszem państwie. I za to wszystko — właśnie za to wszystko — żądają autonomji, szkół, uniwersytetów, subwencji i bo ja wiem jeszcze czego!

Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że Polska da sobie z tem radę, bo dość silna jest na to, a destruktywna, negatywna zawsze i wszędzie robota ukraińska sprzykrzyła się już całemu światu. Przecież, mimo wszelkich Konowalców, już nawet i Niemcy na serjo sprawy ukraińskiej nie traktują, ale w megalomańskich swych enuncjacjach hitlerowskich prawią o germańskiej ziemi kolonizacyjnej po Dniepr i Dźwinę. A więc o germańskiej — z pominięciem wszelkiego ukrainizmu. A w Rosji ukrai-

nizm systematycznie się likwiduje, nietyle prześladowaniem i głodem, o czem tak dzisiaj głośno, ile przedewszystkiem planowem wysiedlaniem ludności ukraińskiej na dalekie przestrzenie sowieckiego imperjum, jak ongiś z elementem kozackim uczynili carowie, wynaradawiając go zupełnie. I w takim momencie Ukraińcy odrzucają wyciągniętą dłoń poważnych, umiarkowanych sfer społeczeństwa polskiego!

My się tem, powtarzam, nie zrażamy, ale i przesadzać w zapraszaniu więcej nie będziemy, ani zabiegać o współpracę tych, którzy jej nie pragną. Raczej naszym przykładem, politycznym i naukowym, winniśmy oddziaływać na wykształceńsze sfery ukraińskie, nie dbając wcale o to, jak one na to zechcą narazie reagować. Mamy nadzieję, że pójdą kiedyś po rozum do głowy, a wówczas to jedno niewątpliwie się sprawdzi, że lepszą przyszłość zaczną swemu narodowi budować. I tej lepszej przyszłości, opartej na realiźmie politycznym i konstruktywności w działaniu, życzy im Koło Przyjaciół wydawnictwa, które „przyszłość“ nosi w swym tytule!

Bez względu jednak na to, czy odpowiednie sfery ukraińskie, ochłonąwszy z chwilowch porywów, powrócą lub nie powrócą do współdziałania z nami, powinna akcja „Naszej Przyszłości“ dokonać przynajmniej tego, aby całe społeczeństwo polskie, we wszystkich okolicach kraju, nawet najodleglejszych od ośrodków, przez Ukraińców zamieszkałych, zrozumiało pierwszorzędną doniosłość tej sprawy i konieczność celowego, stopniowego jej rozwiązania. Nie wolno np. naszym zachodnim prowincjom, nie wolno również naszym sferom gospodarczym lekceważyć tego ważnego problemu, rzekomo dlatego, że te zachodnie prowincje lub te sfery gospodarcze, poza Małopolską Wschodnią, nie mają bezpośrednio do czynienia ze sprawą ukraińską. Tak ważny problem nie może być traktowany regjonalnie, gdyż rozwiązanie jego mogłoby wówczas zbyt słabo i jednostronnie się rozwijać. Cała Polska, we wszyst-

kich swych inteligentnych sferach, winna zrozumieć fundamentalną ważność sprawy ukraińskiej dla państwa, zarówno z politycznego, jak gospodarczego, a niemniej i religijnego punktu widzenia".

Zabierając pierwszy w dyskusji głos, p. Stanisław hr. Łoś zaznaczył, że o sprawie ukraińskiej może mówić pod dwoma kątami widzenia: 1) pierwszy, to stosunek Polski do przyszłej państwowości ukraińskiej, 2) drugi, to stosunek Polski do ukraińskiej sprawy, jako wewnętrzno-politycznej, narodowościowej.

Odnośnie do punktu pierwszego, mówca sądzi, że można jeszcze wstrzymać się z wykrystalizowaniem ostatecznego poglądu polskiego. Sprawa ukraińskiej państwowości nie ma charakteru aktualnej sprawy politycznej i niema widoków, by tego charakteru wprędce nabrać miała. Trudno jest ustosunkowywać się a priori do sprawy, co do której niewiadomo jest, czy, kiedy i w jakich warunkach stanie na porządku dziennym. Ofiarowywać zaś — jak to czynią niektóre odłamy opinji polskiej — Ukraińcom zgóry, bezwarunkowo pomoc polską przy budowie państwowości ukraińskiej mówca uważa za błędne. Takie stanowisko — zwłaszcza, gdy, jak się to, aż nazbyt często dzieje, połączone jest z tendencją do bagatelizowania lub wręcz ignorowania sprawy ukraińskiej jako wewnętrzno-politycznej, narodowościowej — jest szkodliwe podwójnie, bo 1) demoralizuje Ukraińców, 2) irytuje ich, zupełnie zresztą słusznie. Demoralizuje dlatego, że zaszczepia im mylne przekonanie, że państwowość ukraińska jest Polsce do tego stopnia koniecznie potrzebna, że w razie danym mogą liczyć na pomoc polską bezwarunkowo i nieodpłatnie, że zatem nie potrzebują zapewniać jej sobie odpowiednią własną wobec Polski postawą. Narzucanie się a priori z polską pomocą budzi u Ukraińców tylko lekceważenie

Polski i Polaków, a irytuje ich — jak powiedziano powyżej — słusznie, bo widzą w tych nieproszonych i niedziękowanych polskich obietnicach próbę odwrócenia ich uwagi od sprawy ukraińskiej, jako wewnętrznej polskiej, chęć zamydlenia im oczu obietnicą przyszłego raju i przejścia do porządku dziennego nad faktem istnienia w granicach Rzplitej kilkomiljonowej ukraińskiej ludności. P. Łoś uważa tedy, że taktyczniej i rozsądniej i uczciwiej jest nie taić bynajmniej przed Ukraińcami, że Polska rezerwuje sobie swoje stanowisko w sprawie przyszłej państwowości ukraińskiej, że uzależnia je od swoich własnych polskich interesów, że postawy polskiej nie mogą Ukraińcy w żadnym wypadku przesądzać, ani nie powinni jej lekceważyć, że wreszcie na pomoc polską mogą Ukraińcy liczyć tylko: 1) jeżeli o nią poproszą, 2) jeżeli opinja polska dojdzie do przekonania, że powstanie państwa ukraińskiego jest połączone z poważną i to trwałą, mówca powtarza z naciskiem: trwałą korzyścią dla Rzplitej.

Rezerwując sobie tedy zupełną swobodę, o ile chodzi o sprawę ukraińskiej państwowości, opinja polska — zdaniem p. Łosia — winna poważniej i głębiej, niż dotąd, zająć się sprawą ukraińską, jako wewnętrzno-polityczną sprawą narodowościową. Głównym błędem traktowania sprawy ukraińskiej przez polską opinię była doryważość jej zainteresowań. O ile na ziemiach polsko-ukraińskiego zmieszania było cicho, o ile nie były one właśnie teatrem jakichś poważniejszych awantur, opinja polska sprawą ukraińską nie zajmuje się wcale, szukając usprawiedliwienia swej nieruchomości we wskazywaniu na bardzo poważne istotnie niedomagania ukraińskiej psychiki politycznej. O tych niedomaganiach nie chce p. Łoś mówić; pisał o nich per longum et latum, ale w publikacjach, przeznaczonych przedewszystkiem dla ukraińskiej publiczności. Tylko w tego rodzaju publikacjach może przynieść pożytek mówienie o błędach i wykoszlawieniach ukraińskiej polityki.

Mówiąc dla audytorjum wyłącznie polskiego, woli mówca mówić o błędach i niedomaganiach po stronie polskiej.

Dorywczość zainteresowania się sprawą ukraińską przez opinję polską sprawia, że czynniki rządowe nie znajdują w opinji publicznej dostatecznego oparcia, muszę natomiast liczyć się z dorywczym oporem różnych, z natury rzeczy odruchowych i nie daleko patrzących lokalnych polskich patrjotyzmów. Skutkiem tego wielka linja polityki państwowej załamuje się i ginie w nieskończonych szczegółach codziennej administracji i władze mają wszelkie prawo być zadowolone, jeżeli uda im się utrzymać zewnętrzny, mechaniczny ład. Spełniają w ten sposób swój podstawowy, bynajmniej nie tak do spełnienia łatwy obowiązek wobec państwa, ale nie mogą pójść dalej, bo opinja publiczna nie spełnia wobec nich swego obowiązku, którym jest być busolą i gwiazdą przewodnią.

Że ignorowanie czy to w teorji, czy w praktyce sprawy ukraińskiej, jako wewnętrzno-polskiej, niczem nie może się przyczynić do jej pomyślnego rozwiązania, jest tak jasnem, że niewarto się nad tem dłużej rozwodzić. Konsekwencją z takich przesłanek wychodzącej polityki byłoby (a niestety, aż nazbyt często i faktycznie było) oddanie inicjatywy politycznej w ręce niepolskie. Wypuszczenie zaś z rąk inicjatywy zawsze prowadzi do ujemnych konsekwencji. Zrozumienie tej prawdy robi coraz to poważniejsze postępy. Opinja polska poczyna rozumieć, że w stosunku do problemu ukraińskiego potrzeba mieć jakąś politykę, a ta polityka powinna mieć jakieś konkretne cele. Celem takim ma rzekomo być asymilacja i to, jakby niektórzy teoretycy tej doktryny chcieli, narodowa, albo też, czem skromniejsi i liczniejsi zadowoliliby się — państwowa. Cały obóz asymilacyjny jest jednak zgodny z tem, że wyników polityki asymilacyjnej nie można oczekiwać w niedługim czasie, można na nie liczyć dopiero za dwa, lub trzy pokolenia, t. j. gdzieś między rokiem 2000 a 2030. Mówca

bynajmniej nie jest skłonny prekonizować politykę na bardzo krótką metę, nie mniej przeto sądzi, że zmysł wieczności jest u naszych asymilatorów nadmiernie rozwinięty. Zanim się po sześćdziesięciu lub stu latach dopłynie do asymilacyjnego kraju, trzeba tych sześćdziesiąt lub sto lat jakoś przeżyć. Mówca boi się, że przy polityce, zmierzającej do asymilacji, a zwłaszcza te swoje zamiary głoszącej, najbliższych kilkadziesiąt lat byłoby wypełnionych nieustannemi ukraińskiemi awanturami.

Asymilacja — powiada p. Łoś — jest zjawiskiem znanem, nawet dość częstem w historji. Tylko, że apostołowie polityki asymilacyjnej zapoznają jej istotę. Asymilacja jest nieświadomym procesem, który przechodzi asymilowany, nigdy zaś, ale to nigdy, nie jest czynnością asymilującego. Wszelka polityka, która, zapoznając tę podstawową prawdę, wypisze na swych sztandarach hasło asymilacji, jest zgóry skazana na fatalne fiasco. Polityka taka bowiem rozdrażnia poczucie odrębności u mającego być zasymilowanym, to poczucie właśnie, które musi zaniknąć, zanim proces asymilacji może się zacząć i dokonać.

Jedyną zatem — zdaniem p. Łosia — polityką, rokującą rezultaty nie w jakichś astronomicznie odległych czasach, jest polityka, wychodząca z założenia, że świadomość odrębności narodowej jest u Ukraińców ostatecznie wykrystalizowana, a dążąca do celu nie asymilacji, lecz pokoju narodowościowego na ziemiach polsko-ukraińskiego zmieszania.

Trzeba, jednem słowem, traktować Ukraińców, jako jeden z narodów Rzplitej, jako naród, który trwale zachowa swoje odrębne od Polaków narodowe oblicze. Asymilacja jest utopją, przynajmniej o ile chodzi o okres życia trzech najbliższych pokoleń; przywiązania do polskiej państwowości Polacy Ukraińcom ani zaszczepić, ani tembardziej narzucić nie potrafią. Bezsilna tu będzie i szkoła państwowa z najmądrzejszym nawet programem nauczania, bo

znajomość języka, literatury i kultury polskiej nie jest bynajmniej identyczna z miłością do Polski, z poczuciem solidarności z losami państwa. Jeżeli takie poczucie kiedyś się u naszych Ukraińców zjawi, to wypłynie ono bynajmniej nie z żadnych polskich źródeł, ale wypłynąć może organicznie tylko z ukraińskiej świadomości, że należenie do Polski jest dla nich ewentualnością, jeżeli nie najlepszą, to przynajmniej najmniej złą.

Ukraińców naszych nie można ani ignorować, ani asymilować, jedno i drugie do niczego nie prowadzi. Można rodowy ruch ukraiński rozbudowywać i kanalizować; należy i można mu wytknąć koryto, którem ma płynąć. Epokę demokratyczno-parlamentarną mamy na dłuższy czas za sobą, nie potrzebujemy tedy się obawiać, że rozpętamy siły, których potem opanować nie zdołamy. Naród ukraiński przeszedł ostatnimi czasy i przechodzi jeszcze przez taki rozgrom, że poczucie rzeczywistości poczyna się budzić w duszach ukraińskich, tych duszach, które, zdawało się, poczucia tego w zupełności pozbawione były. Trzeba temu narodowi dać — na razie skromny, ale zdolny do rozwoju i legalnie uznany — stan posiadania. Niech Ukraińcy mają raz coś nie zdobytego w walce z państwem, lecz uzyskanego z życzliwej, konstruktywnej inicjatywy państwa. Niech się czują odpowiedzialni za utrzymanie i rozbudowę tego stanu posiadania. To poczucie odpowiedzialności, czynnik nieznany dotąd ukraińskim działaczom, będzie bardzo cennem novum w dalszym rozwoju stosunków polsko-ukraińskich, na jego podłożu będzie można powoli niejedno zbudować.

Nie asymilacja — kończy mówca — lecz pokój narodowościowy powinien być naszym celem, a metodą, do celu tego prowadzącą, jest paralelizm i, gdzie się da, parytet narodowościowy.

Przemówił z kolei p. Dr. Jerzy Pogonowski.

„Zamierzając w przemówieniu swem załatwić kwestje przedwstępne, dotyczące przedmiotu dyskusji, poruszam raz jeszcze sprawę odrębności narodowej Ukrainy, do dziś bowiem, nietylko w sferach narodowo-demokratycznych, ale wogóle polskich, a gdzieniegdzie i konserwatywnych — pokutuje często pogląd, jakoby nie istniał wcale naród ukraiński, tylko jakaś nowomodna fikcja, tak nazwana, a zainspirowana przez Austrję. Według tego właśnie poglądu— „Nasza Przyszłość“ miałaby „niepotrzebnie pomagać do stworzenia ukrainizmu“. Pomimo więc ogromnego w kwestji politycznego ukrainoznawstwa postępu myśli i wiedzy polskiej, spotyka się dziś jeszcze tak zacofane zdania. Ukraińcy często mówią, że Polacy mają na ich sprawy „pogląd endecki“ i wyśmiewają „Polonorum in rebus ucrainicis ignorantiam“. Owóż ignorancja ta dotyczy nietylko kultury ukraińskiej (nauki, sztuki i literatury), ale często nawet dziejów polityki polsko-ukraińskiej. Niewątpliwie nazwy „Ukrainiec, ukraiński“ w oznaczeniu całego wielomiljonowego (obecnie 40-miljonowego) narodu, są nawet świeższej daty. W wieku XIX dopiero słowa „Ruś, ruski“ zastępować poczęto terminami „Ruś-Ukraina“ (por. M. Hruszewskiego „Istorija Ukrajiny-Rusy“), „rusko-ukraiński“, a to dla zaznaczenia związku z ogólną grupą ruską, w której się mieszczą Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini. Jednak termin „ukraiński“ nie jest daty tak świeżej. I to nietylko w sensie terytorjalnym, ale i politycznym. Już Bohdan Chmielnicki używa terminów „Ukraina, ukraiński“ w sensie prawno-politycznym.

Co składa się na pojęcie narodu? Język, ciągłość dziejowa i samopoczucie. Język nie jest tu najważniejszy (w Ameryce i Anglji, choć są inne wymowy — „english spoken and american understand“ — jeden jest jednak język, angielski), a niema powszechnego kryterjum, któreby niezawodnie rozróżniało języki i dja-

lekty. Wiadomo, że djalekty północno- i południowo-niemieckie bardziej się różnią, niż samodzielne języki słowiańskie — nawet najbardziej odległe w pokrewieństwie, jak chorwacko-serbski i polski. A jednak wspólny język literacki — obok dośrodkowości niemieckiej — zwyciężył i zadecydował. Różniczkowanie się odśrodkowe Słowian odbywa się właśnie przy poparciu języków literackich, a jednym z takich jest ukraiński. Nikt z nas nie kwestjonuje odrębności etnicznej Słowaków, liczebnie małego narodu. Bądźmyż sprawiedliwi wobec narodu 40-miljonowego, jakim są Ukraińcy. Dziejowa ciągłość, a w niej samopoczucie narodu rusko-ukraińskiego, podlegają wahaniom i jakoby nawet sui generis przerwom, niemniej jednak continuité jest zachowana. Starsi często dziś wspominają, że nie było za ich młodości „żadnej kwestji ukraińskiej“. Odpowiem: ale była kwestja ruska i miała ona swą pokaźną literaturę w Polsce, nie można też Rusinów uważać żadną miarą za Rosjan, a już absolutnie nigdy za Polaków. Popierający tezę rosyjskości Ukraińców szkodzą Polsce. Jest i inna teorja, poparta ostatnio nieszczęśliwie przez Romana Dmowskiego i J. Giertycha, a to: polegająca na rozdrobnieniu narodu ruskiego na Łemków, Huculów, Poleszuków etc. i mówieniu o „pewnym ukraińskim kierunku odłamu pracy ruskiej“. Tak można dzielić wszystkie narody— wspomnijmyż podział niemiecki na „die Polen, die Masuren, die Kaschuben“. Świadomość narodowa chłopa ukraińskiego na terenie właściwej Ukrainy, nawiązująca chętnie do tradycji „bat‘ka Chmela“, a rozwinięta zwłaszcza silniej od Wielkiej Wojny, inna jest w niejednym szczególe od takiejże świadomości chłopa czerwono-ruskiego („Małopolska Wschodnia“ nie jest nazwą historycznie trafną, ani też szczęśliwą). Jednak nie zdawalibyśmy się np. na plebiscytowy sąd tego chłopa.

Jakkolwiek Ukraińców zwać będziemy, nie zaprzeczy nikt trzeźwy faktu, że oni są, że żyją

w obrębie Rzeczypospolitej Polskiej i uważają się za żywioł, odrębny od Polaków (jak faktycznie są nim), że bynajmniej nie narzucona im przez Niemców, ale często z pierwszego pokolenia z nich wyrosła ich inteligencja, zespolona z nimi, t. j. ludem, silnie marzy o własnej niepodległości i że w tem zgadzały się w r. 1919 obie „Ukrainy“, t. zw. „Zachodnia“ i „Wschodnia“. Były tam tarcia, pewien posmak austrjacki (bo poparcie austrjacko-niemieckie dla Ukraińców nie ulega wątpliwości, acz nie „stworzyło“ bynajmniej w drodze cudu narodu ukraińskiego w b. Galicji) kłócił się z rodzimym nastrojem ukraińskim z nad Dniepru. Sprzeczki te nie anulowały zbieżności ostatecznej. Z tradycji dziejowej nić Wyhowskiego, Tetery i Mazepy podjął Semen Petlura i ślepy jest, kto nie widzi tej wyraźnej linji i przeskakuje lekceważąco, z uporem przez fakty i daty. Myśl polityczna ukraińska w przeobrażeniach swych od Bohdana Chmielnickiego do naszych dni przeszła przez ogromną ewolucję. Niestety jednak, pomimo tej ewolucji, wiele zachowała pierwiastków nietylko zbędnych, ale wręcz szkodliwych. Jest to ciągle polityka rozpaczy i skarżenia się publicznego — oraz widoczna słabość w konstrukcji politycznej. Tą drogą bardzo niedaleko się jedzie, los powtarza swe lekcje, a Ukraińcy, niestety, tylko minimalnie z nich korzystają. Stosunki polsko-ukraińskie, przy winach ze stron obu, przedstawiają się prawdziwie tragicznie: ledwo nawiązane nici przerywa byle przypadek, dekonjunktura zwala konjunkturę, nieporozumienie, brak odważnej konsekwencji pozostawiają wielką sprawę zawieszoną w powietrzu — i wędruje się w błędnem kole. Konkluzja z dociekań i obserwacji nie jest pomyślna: do idealnie dobrego załatwienia sprawy stosunków polsko-ukraińskich dojść niemożna, zawiele leży tu u podstaw „dwojakiej prawdy“. Stuprocentowe zadowolenie jednego narodu względnie jego racji stanu wyklucza stuprocentowe zadowolenie drugiego i jego racji. Ukraińcy mało mają zmy-

słu do dziejowego kompromisu, z polskiej strony zawsze nadto brakło programu. Eksterminacyjno-asymilacyjne (w sensie narodowym) zapędy narodowej demokracji i frazeologiczny, bądź też nierealny projekt autonomii terytorjalnej P. P. S. — to dwa krańce nie do przyjęcia. Oscylacja względnie opieszałe traktowanie tak zaognionego problemu też nie prowadzi do wyjścia z arcykłopotliwej sytuacji. Prace polskie i ukraińskie pióra jednego z niewielu w Polsce znawców przedmiotu w tej mierze, d-ra Stanisława hr. Łosia, wiele opinji polskiej wyjaśniły — dyskusje polemiczne pp. Łosia i Kedryna wiele ziarn prawdy zdążyły wyłuskać. Powstanie miesięcznika wzgl. kwartalnika naukowego polsko-ukraińskiego przy „Naszej Przyszłości" i akcja Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, to też kroki i posunięcia nader pożądane i oby jak najszczęśliwsze w ostatecznym ich efekcie, ale — to bynajmniej nie wszystko. Idąc w zapasy z Nemezydą, należy jak najsyntetyczniej pracować w kierunku usuwania zła i budowania dobra na niwie dziejów polsko-ukraińskich. Znajomość wzajemna naprawdę sine ira et studio, to rzecz niezbędna, ale też i wytrwała praca dla przyszłości. Nie może być dalej tak, jak dotąd. Potrzeba wszechnicy ukraińskiej (w Warszawie lub w Stanisławowie, bo Lwów nie nadaje się na to — i ze względu polskiej racji stanu i ze względu na dobro stosunków polsko-ukraińskich, to powiedzmy szczerze), trzeba więc uruchomić choć niektóre jej wydziały, jak np. humanistyczny i prawno-polityczny — trzeba stworzyć wyższą szkołę gospodarstwa ukraińską, trzeba zbliżenia naukowo-literackiego i artystycznego. Wykonanie choćby tych najbardziej palących punktów programu wydatnie polepszy sytnację, nie należy więc zaniedbywać tej pracy konstytucyjnej, która rokuje widoki, acz nie idealne, ale — realne".

Po krótkiem przemówieniu J. E. ks. Arc. Roppa, który podniósł znaczenie odrębności obrządku w stosunkach polsko-ukraińskich, zabrał głos docent dr. Józef Gołąbek.

„Dzisiejsza dyskusja ma się toczyć stosownie do programu nad sprawą ukraińską z dwóch punktów widzenia, mianowicie z punktu widzenia przyszłości państwa polskiego i odrobienia pomyłek przeszłości. Dotychczasowi przedmówcy wysuwali raczej sprawę współpracy na przyszłość, mnie się zaś wydaje, że ważniejszą jest rzeczą rzucenie okiem na te pomyłki przeszłości, ponieważ rozpatrzenie ich może ułatwić pracę w przyszłości, jak również uniknięcie błędów. Jeśli chodzi o współpracę polsko-ukraińską, to wydaje mi się konieczną rzeczą przerobienie psychiki tak polskiej, jak i ukraińskiej, a to w tym duchu, by ze strony polskiej zanikł pewien rys lekceważenia, jaki się nieraz daje zauważyć w społeczeństwie naszem w odniesieniu do zagadnień ukraińskich, a ze strony ukraińskiej musi być usunięta pewna nieufność, jaka się nieraz wysuwa, gdy Polacy podają Ukraińcom rękę do współpracy. Jakież mogą być pomyłki przeszłości? Nie mogę przytaczać wielu przykładów, ale wystarczy poprzestać na rozpatrzeniu czasów Chmielnickiego. Moment ów traktuje się u nas jednostronnie i nazywa się go zwyczajnie „buntem", nie wiem jednak, czy dzieje tego buntu zbadano u nas z tego stanowiska, z jakiego ujmuje go historja ukraińska. Możliwe, iż takie spojrzenie nie wyjaskrawiałoby go w tej mierze, w jakiej się wyjaskrawia choćby w takiem arcydziele, jakiem jest „Ogniem i mieczem". Jeden z wybitnych historyków ukraińskich w częstych dyskusjach ze mną na ten temat podkreślił wyraźnie, że my w tego rodzaju określaniu dziejów (chodzi o wyraz „bunt") podobni jesteśmy do Rosjan, którzy ze swej strony powstania polskie nazywali również buntami, a przecież to bunty nie były, jak również nie mogło być buntem powstanie ukraińskiego elementu na ziemiach ukraińskich.

Poprzestając na tym jednym przykładzie, muszę dalej zaznaczyć, że naszym obowiązkiem jest zaznajomienie się z historją i kulturą ukraińską. Dziwna rzecz, że jakkolwiek od wieków Polacy i Ukraińcy sąsiadują z sobą, tak mało u nas pisze się o kulturze i literaturze ukraińskiej, a nieznajomość tych rzeczy pokrywa się lekceważącą ignorancją, wyrażającą się w popularnem określeniu, że wogóle niema ukraińskiej literatury. Tymczasem zaznajomienie się z naszej strony z nią pokazałoby nam, że zajmuje ona poważną pozycję wśród słowiańskich literatur, że dalej do połowy XIX w. przejawiał się w niej raczej przychylny stosunek do Polski, czego dowodem są Kostomarowa „Knyhy bytija ukraińśkoho narodu", że wreszcie w latach późniejszych widoczny jest w niej również obraz polskości, lecz raczej w negatywie. To wszystko wskazuje na potrzebę, a nawet konieczność poznania tego, co o nas Ukraińcy pisali i piszą, nie znając bowiem tego wszystkiego, nie wiemy i nie będziemy wiedzieli, na jakich zasadach opierać harmonijne współżycie. Droga, jaką tutaj podaję, wydaje mi się właściwą i pewniej prowadzącą do celu, niż droga różnych politycznych uchwytów, opartych jedynie na chwilowych przypuszczeniach. Skoro tu padły słowa o dążeniach Ukraińców do niepodległości, to my nie możemy nic powiedzieć ani przewidywać, kiedy ona nastąpi. Trudnoby się zgodzić z powiedzeniem, że w dzisiejszych warunkach raczej trudno przypuszczać, aby Ukraina mogła się stać niepodległą, gdyż fata narodów są tak różne, iż określanie godziny zmartwychwstania jakiegokolwiek narodu do życia państwowego nie wydaje się możliwe. Więc tego rodzaju rozmyślania do nas nie należą. Naszem zadaniem, jeżeli istotnie rzucony tu plan współpracy ma przynieść pożyteczne owoce, jest poznanie i to wszechstronne Ukrainy i na tej zasadzie dążenie do porozumienia pod hasłem równi z równymi".

W końcu prof. Tadeusz Hilarowicz podkreślił, że młode pokolenie polskie w Małopolsce wschodniej przed wielką wojną wychowywało się w atmosferze zupełnej nieznajomości ruchu intelektualnego i społecznego wśród Rusinów (Ukraińców) i zacytował liczne własne wspomnienia. Nastawienie psychiczne nasze było tego rodzaju, iż nie wyobrażaliśmy sobie nawet, że Ukraińcy mogą stworzyć instytucje kulturalne i gospodarcze o poziomie z nami równorzędnym. To też dlatego wiele rzeczy nas niejako zaskoczyło. Na przyszłość trzeba unikać błędu niedoceniania siły ewolucyjnej społeczeństwa ukraińskiego.

Należy Ukraińców pozyskiwać dla myśli państwowej polskiej. Jako jeden ze środków wymienia mówca projekt utworzenia specjalnego Ministerstwa dla spraw ukraińskich, któreby w niczem nie zagroziło jednolitości Państwa Polskiego, a dałoby Ukraińcom publiczno-prawną placówkę w aparacie państwowym polskim.

Reasumując dyskusję, podniósł dr. Bobrzyński jeszcze krótko wielce ujemną niestety dla omawianego problemu okoliczność, że polska polityka wobec narodu ukraińskiego była od niepamiętnych czasów niezdecydowana i właściwie bezprogramową. Przerzucała się dorywczo z jednej ostateczności w drugą, między skrajną słabością, rozzuchwalającą tylko społeczeństwo ukraińskie, a represjami, wywołującemi nienawiść z jego strony i psychozę wiecznej „krzywdy". Przyciągając więc pewne symbole obrazowe z literatury dla lepszej ilustracji naszego w tym zakresu postulatu, życzyć należy, aby w przyszłości polityka polska w sprawie ukraińskiej nie była ani polityką Wiśniowieckiego, ani Kisiela, ale obrała sobie linję złotego

środka — sprawiedliwą, a mocną i zdecydowaną, aby najpierw nie poniżać się do zbytnich atencji wobec żywiołów, które je zawsze tylko jako objaw naszej słabości i obawy tłumaczę, a potem nie być zmuszonym do gwałtownych represji [1]).

---

[1]) W czasie druku niniejszego tomu ogłosiła „Nowa Zorja" szereg artykułów, krytykujących nasz „Program ukraiński", ogłoszony w październikowym tomie „Naszej Przyszłości". Zarzuca nam, że

1) negujemy potrzebę narodowego i kulturalnego rozwoju Ukraińców małopolskich,

2) odnosimy się do sprawy ukraińskiej, jak „endecy".

Nie odpowiadamy na to, bo każdy, kto czyta „Naszą Przyszłość" i zna jej stanowisko i działalność w kwestji ukraińskiej, można chyba tylko roześmiać się głośno na zarzuty tego rodzaju.

Ukraińcy chcą widocznie, aby im ciągle pochlebiać. A gdzie brak specjalnego pochlebstwa, a jest tylko prosty objektywizm i realizm, tam dopatrują się „krzywdy".

Na innym poziomie stanąć jeszcze nie umieją. Mamy jednak nadzieję, że stopniowo tego się nauczą. A wówczas rozróżnią lepiej, kto jest im przyjacielem, mimo słów twardych, a kto „endekiem".

# FASZYZM, HITLERYZM, BOLSZEWIZM.

Na pierwszy rzut oka wydaje się paradoksalnem zestawienie tych trzech, tak do siebie niepodobnych systemów rządzenia. Faszym zawiera pakt Lateraneński z Watykanem, tępi bolszewizm, odrzuca ideje rewolucji francuskiej z r. 1789, stara się wskrzesić tradycje starożytnej Romy, władczyni świata, podkreśla potrzebę autorytetu w życiu publicznem, walczy z wadami własnego społeczeństwa, otacza szczególną opieką rodzinę i dziecko i t. p. Bolszewizm tępi bezwzględnie religję, kapłanów zsyła masowo na Sołowki, zrywa z wszelką tradycją, stara się w człowieku zdusić wszelkie szlachetniejsze uczucia, które człowieka ponad zwierzę wznoszą i tak spodloną, sterroryzowaną jednostkę ludzką chce wprząc, jako siłę roboczą, do pracy w maszynie państwowej; — bolszewizm chce oprzeć ustrój społeczeństwa i państwa na ideach czysto racjonalistycznych z wykluczeniem wszelkich momentów nadprzyrodzonych, ułatwia rozwody, spędzanie płodu; wyrafinowanem ustawodawstwem przeszkadza małżonkom spędzać razem nawet chwile wypoczynku (bo w każdym zakładzie na inny dzień tygodnia przypada wypoczynek) i t. d.

A jednak przecież i faszyzm i bolszewizm wyrastają i wyróść mogą tylko na pewnem wspólnem podłożu, t. j. na podłożu głębokiego przesilenia politycznego i moralnego naszych czasów, a różnica w tem jedynie leży, że każdy z tych kierunków innej szuka recepty na uzdrowienie społeczeństwa.

## I.

Parlamentaryzm swą moc i znaczenie czerpał nie z samej tylko ustawy wyborczej, czy też z ustawy, określają-

cej kompetencje parlamentu: o sile parlamentu decydowali ci, którzy w tym parlamencie zasiadali. Pierwotny parlamentaryzm stanowy moc swą czerpał z siły organizacji stanowych, których był wyrazem, a organizacja stanowa to — jak wiadomo — organizacja mniejszych i większych władców feodalnych, związanych wspólnością przywilejów politycznych. Nic dziwnego, że monarcha musiał się liczyć z tak potężną organizacją, musiał starać się o to, aby zapewnić sobie współdziałanie tej organizacji przy realizacji swych planów politycznych, a temsamem musiał się liczyć i z parlamentem stanowym, który był wyrazem wspomnianej organizacji. Kiedy ustrój stanowy począł się rozkładać, to w Anglji parlamentaryzm nie stracił mimo tego swej siły, gdyż zasiadali w nim przedstawiciele klas, które nadal umiały utrzymać rolę dominującą w życiu publicznem (np. wielcy właściciele ziemscy, na których barkach spoczywał ciężar samorządu lokalnego, a którzy przytem dzięki sile tradycji, dzięki wpływom gospodarczym, związanym z wielką własnością ziemską, zachowali duże znaczenie, a ponadto jeszcze „ton nadawali", t. j. ich obyczaje były naśladowane przez inne klasy, ich poglądy, np. w kwestjach honoru i t. p. były przyjmowane, jako miarodajne, także przez inne klasy społeczne i t. d.).

Pozostawiając na boku późniejsze przekształcenia parlamentaryzmu angielskiego, zwłaszcza przekształcenia, dokonane w II-ej połowie XIX wieku, zaznaczyć należy, że parlamentaryzm kontynentalny przedstawia się jako przeniesienie (mniej lub więcej udane) wzorów angielskich do państw zachodniej Europy. Gdzie w skład parlamentu weszli przedstawiciele klas, mających poważną sumę wpływów w społeczeństwie, potrzebną do utrzymania znaczenia parlamentu, tam parlamentaryzm zapuścił korzenie i funkcjonował prawidłowo; w przeciwnym wypadku okazuje się on bezsilnym. Parlamentaryzm francuski z czasów restauracji Bourbonów chciał wskrzesić znaczenie polityczne

szlachty francuskiej, które było zachwiane jeszcze przed rewolucją; to też widzimy, jak parlament francuski owego czasu okazuje się bezsilnym wobec wypadków politycznych, widzimy dalej, jak radykalizm podczas wstrząśnień i przewrotów z r. 1830 pozostawia za sobą daleko w tyle programy ówczesnej lewicowej opozycji parlamentarnej i t. d. Po obaleniu Bourbonów we Francji burżuazja francuska, zahipnotyzowana ideami rewolucji francuskiej z r. 1789, a w szczególności teorją o Volonté générale, nie zdołała stworzyć z parlamentu siły, któraby przez poparcie rządu zdołała uchronić Francję przed wstrząśnieniami. W ciągu XIX w. przeszła Francja — jak wiadomo — przez dwie jeszcze rewolucje, a każdy następny przewrót polityczny we Francji zaznacza się przesunięciem coraz bardziej na lewo ustawy wyborczej i składu parlamentu francuskiego, aż wreszcie po r. 1870 ustala się tam republika skrajnie demokratyczna, przy której nad parlamentem ma przewagę i krajem rządzi właściwie (bardzo wysoko tam stojąca) biurokracja, a niebezpieczeństwom zamachu stanu zapobiega bezsilność władzy Prezydenta Rzeczypospolitej (mającego ciasny zakres władzy i obieranego przez Izby), oraz ubezwładnienie Gabinetu Ministrów wobec Izb. (O przyczynach tego stanu rzeczy pomówię niżej).

Przeciwieństwem Francji były Prusy, o których wielki uczony francuski M. de Vogué powiedział pod koniec XIX wieku (Regards historiques et littéraires), że są jeszcze społeczeństwem nawpół feodalnem. Na wschód od Łaby istniało przed wojną w Prusach 1200 ordynacji, nie licząc dóbr allodjalnych. Junker pruski miał w oczach włościaństwa swej okolicy autorytet oficera, powołanego do dowodzenia tą ludością w czasie pełnienia służby wojskowej; ponadto sprawował on zazwyczaj funkcje administracji lokalnej, jako delegat Landrata; a w ciałach samorządu terytorjalnego odgrywał on wybitną rolę. Pruska ustawa wyborcza, oparta na podziale wyborców na trzy klasy wedle sumy

opłacanych podatków, zapewniła junkrom bardzo silne wpływy w parlamencie pruskim. Wprawdzie atrybucje parlamentu pruskiego były skromniejsze w porównaniu z atrybucjami innych współczesnych parlamentów europejskich, to jednak widzimy, że pruski parlament, dzięki zaczeniu ludzi, w tym parlamencie reprezentowanych, współdziałając z monarchją, umiał zawsze opanować sytuację polityczną i niedopuścić do przewrotów politycznych i to nawet wówczas, gdy znaczenie polityczne junkrów pruskich zostało zachwiane skutkiem rozwoju przemysłu, którego przedstawiciele poczęli zwalczać monopol junkierskich wpływów politycznych i gdy w parlamencie Rzeszy niemieckiej, opartym na powszechnem głosowaniu, powstała silna partja socjaldemokratycza, wywierająca duży wpływ na rząd Rzeszy i wyzyskująca ten wpływ zawsze dla zwalczania junkrów. Dopiero przegrana wojna, za którą odpowiedzialność w oczach opinji publicznej spadła na cesarza i na junkrów, zachwiała do tego stopnia autorytetem wspomnianych dwóch czynników politycznych, że rewolucja nie dała się powstrzymać.

Brak miejsca nie pozwala zanalizować tutaj stosunków politycznych w innych państwach; zaznaczyć tylko muszę, że analiza taka zawsze potwierdza wypowiedzianą poprzednio tezę, mianowicie, że znaczenie parlamentu zawsze zależy od znaczenia czynników, w tym parlamencie reprezentowanych.

Na ogół jednak nie zdawano sobie sprawy w ciągu XIX i z początkiem XX w. z tej prawdy politycznej. W większości państw europejskich, za przykładem Francji, a pod wpływem prądów, odrzucających prawo Boskie, oraz wszelki autorytet polityczny, oparty na tradycji, a uznających wyłącznie volonté générale za jedynie usprawiedliwione źródło władzy, zmieniano ustawy wyborcze, aż w końcu wprowadzono równe, bezpośrednie i powszechne prawo wyborcze do parlamentu. Przy takiem prawie wyborczem

w masie utonęły i zostały zmajoryzowane wybitne jednostki i talenty polityczne; ponadto nawet rzeczywiste interesy szerokich warstw ludności nie mogły znaleźć swego wyrazu w parlamencie przy równem i powszechnem głosowaniu, przy którem w jednym okręgu głosowali przedstawiciele różnych gałęzi produkcji, robotnicy, zatrudnieni w różnych przedsiębiorstwach, mających z sobą wprost sprzeczne interesy, przedstawiciele różnych zawodów, t. zw. wolnych, urzędnicy publiczni i prywatni i t. d. W takiej sytuacji warunkiem zdobycia władzy i utrzymania się przy niej jest posługiwanie się takimi argumentami, któreby dla masy, mającej przewagę liczebną, były zrozumiałe i któreby przyrzekły zaspokojenie ich pragnień. Jeżeli sobie zadamy ten trud, aby przeglądnąć prasę codzienną, a zwłaszcza prasę najbardziej poczytną, to możemy sobie stworzyć obraz, jak pojmują życie publiczne te masy, które dzięki swej przewadze liczebnej odgrywają rolę decydującą przy równem, powszechnem głosowaniu. To też w czasie propagandy przedwyborczej agitatorowie poszczególnych stronnictw dokonywują arcydzieł sofistyki, aby wynajdywać obietnice wyborcze, któreby się mogły podobać największej liczbie wyborców danego okręgu, a dostosowane były do ich wyobrażeń o życiu politycznem.

Po ukończeniu wyborów i zdobyciu mandatu poselskiego zmieniają się zazwyczaj role i wybrany poseł nie myśli o zrealizowaniu obietnic wyborczych; tak samo nie myśli zazwyczaj o kontroli rządu, o ile nie rozchodzi mu się o jego obalenie; poparcia rządowi, potrzebnego mu w chwilach, dla państwa krytycznych, udzielić nie może, gdyż jest najczęściej jednostką, pozbawioną wpływów i znaczenia w społeczeństwie; zato bardzo często zamienia się w petenta, który wyjednywa dla siebie lub innych korzyści od rządu. Do tego przyłącza się jeszcze w wielu państwach t. zw. przebudowa społeczeństwa w duchu demokratycznym, t. j. przeprowadzenie takich reform, któreby podkopywały eko-

nomicznie klasy, mające dotychczas przewagę polityczną, a temsamem pozbawiały ich niezależności i zmniejszały ich znaczenie w społeczeństwie. Następstwem tego jest atomizacja społeczeństwa. Do tej atomizacji przyłącza się jeszcze właściwa państwom demokratycznym tendencja do coraz większej ingerencji władzy państwowej w dziedzinę gospodarczą, a taka ingerencja zwiększa bardzo silnie zależność jednostki od władzy wykonawczej.

Tak zatomizowane społeczeństwo, w którem przeważna część zawodów, służących produkcji lub handlowi, jest zależna od rządu skutkiem ingerencji władzy państwowej w dziedzinę gospodarczą i w którem jednostki, zdające sobie sprawę z istoty bieżących zagadnień politycznych, są majoryzowane przez tłumy analfabetów politycznych, nie może wywierać rzeczywistego poważnego wpływu na bieg wypadków politycznych i dlatego także wybrany parlament bywa bezsilnym wobec rządu. W takich warunkach przewagę nad parlamentem uzyskuje rząd, wsparty na biurokracji; a co więcej nawet, posłowie, którzy przecież weszli do parlamentu na podstawie zaufania wyborców, wyrażonego przy wyborach, pomimo tak wyrażonego zaufania ludności, są w wysokim stopniu zależni od stronnictw, które ich przy wyborach popierały [1]); co również jaskrawo dowodzi, jak małe znaczenie polityczne mają dziś wyniki wyborów. (Świeży konflikt w obrębie francuskiej partji socjalistycznej między kierownictwem partji, a posłami umiarkowanymi, należącymi do tej partji, jest wymowną ilustracją powyższego stanu rzeczy). Ludność, która nie zdaje sobie sprawy z aktualnych zadań politycznych, a tylko

---

[1]) Głosowanie na listy, ograniczające swobodę głosowania, wychodzi na korzyść tego systemu, ale jeszcze w wyższym stopniu przyczynia się do tego fakt, będący publiczną tajemnicą, mianowicie, że wybory kosztują tem więcej pieniędzy, im szersze jest prawo głosowania; im bowiem więcej kosztowały wybory, tem bardziej boi się poseł o utratę tak drogo okupionego mandatu poselskiego i tembardziej staje się zależny od stronnictwa, z którego funduszów pokryte zostały koszty jego wyboru.

odczuwa własne kłopoty i czuje zarazem, że pomimo prawa głosowania jest pozbawiona realnego wpływu na rządy — taka ludność nie wystąpi w obronie ani rządu, ani parlamentu, tak samo, jakby nie wystąpiła ludność. całkowicie pozbawiona prawa głosowania; i dlatego w takiej sytuacji każdy zamach stanu, czyto oparty na wojsku, czyto na dość silnej bojówce, ma wszelkie szanse powodzenia. W dodatku demokratyzacja i będąca jej następstwem atomizacja społeczeństwa, oraz zależność gospodarcza ludności od państwa, wywołana ingerencją państwową w sprawy gospodarcze, ułatwiają niezmiernie sytuację ludzi, którzy zdobywają władzę drogą gwałtu, gdyż zatomizowane i zależne ekonomicznie od rządu społeczeństwo nie może się zdobyć na poważny opór wobec rządu, rozporządzającego energicznym aparatem administracyjnym (dla takiego rządu może być groźny tylko nowy zamach stanu, wsparty na silniejszej bojówce).

Wypadki polityczne ostatniej doby są potwierdzeniem wyżej rozwiniętej teorji; jeżeli są dziś jeszcze państwa europejskie z równem i powszechnem głosowaniem, oraz ze zatomizowanem społeczeństwem i jeżeli w niektórych z tych państw nie było dotychczas zamachów dyktatorskich, to przyczyną braku zamachów są specjalne okoliczności, powstrzymujące ludzi od zamachów, nie zaś brak widoków powodzenia. Na tem tle można dopiero zrozumieć wypadki we Włoszech, Niemiec i Rosji.

We Włoszech, kiedy całe społeczeństwo było wyczerpane udziałem w wojnie światowej, a nadto zawiedzione w swych nadziejach warunkami pokojowymi, nie zadawalniającymi narodowych aspiracji, bojówki bolszewickie usiłowały opanować władzę; zamach bolszewicki się nie udał, gdyż bojówki bolszewickie zostały rozgromione przez samorzutnie utworzone bojówki faszystowskie; rozumne zaś wystąpienie króla zażegnało wojnę domową i ulegalizowało rządy faszystowskie przez zamianowanie Mussoliniego pre-

zydentem ministrów. Istnienie czynników zachowawczych we Włoszech i ich współpraca z faszyzmem ustabilizowały zatem sytuację polityczną w tym kraju i zabezpieczyły go przed dalszymi zamachami ze strony tych, którzyby potrafili zorganizować jeszcze silniejszą bojówkę. Jakkolwiek dzisiaj przedwcześnie jest jeszcze na ostateczną ocenę działalności Mussoliniego, to jednak widocznem jest, że zdaje on siebie sprawę, iż dyktatura, wsparta na sile bojówek lub pretorjanów, nie posiada gwarancji trwałości i dlatego dąży on do stworzenia nowej organizacji politycznej społeczeństwa, dostosowanej do nowego ustroju gospodarczego i do przeniesienia części funkcji ustawodawczych na organizacje zawodowe. W ten sposób ustrój państwowy włoski zostałby oparty o dzisiejsze organizacje zawodowe, podobnie, jak dawniejsze parlamenty wspierały się na organizacjach stanowych.

Inny był przebieg wypadków politycznych w Rosji. Rosja była w czasie wojny w położeniu znacznie korzystniejszem od innych państw, prowadzących wojnę. Rosja posiadała nadmiar zboża, kiedy w innych państwach klęska głodu łamała odporność moralną społeczeństwa. W innych państwach były już ostatnie rezerwy ludzkie wyczerpane; Rosja posiadała jeszcze olbrzymie zasoby ludzkie. Historja rewolucji rosyjskiej nie jest dotychczas należycie wyjaśnioną, a w szczególności nie jest wyświetlone, które czynniki pchały do rewolucji; pewnem jest natomiast, że czynniki społeczne, które mogły i powinny były rewolucję zwalczać, ubezwładnione zostały przez brak krytycyzmu, z jakim inteligencja rosyjska przyjmowała wszelkie hasła (zwłaszcza destruktywne), przychodzące z Zachodu. przyczem swoją rzekomą wyższość nad innymi narodami starała się wykazać przewyższając inne narody w wyciąganiu najskrajniejszych konsekwencji z tych haseł. Garstka ludzi, która nie była zaślepiona wspomnianemi hasłami i odczuwała odpowiedzialność za losy państwa rosyjskiego,

ubezwładniona była skutkiem braku decyzji u cara, oraz skutkiem jakiegoś jadu, o którym nie wiadomo, czy był azjatyckim fatalizmem, czy tołstojowską zasadą niesprzeciwiania się złemu; armja rozprzęgła się skutkiem obietnicy pokoju, rzuconej przez bolszewików; ciemne masy rosyjskiego włościaństwa porwane zostały obietnicą podziału ziemi dworskiej między chłopów. W tych warunkach nie mógł się ustrzymać carat, ale także nie mógł się utrzymać rząd tymczasowy, który chciał wprowadzić w Rosji republikę demokratyczną; zwyciężyły nad nim bojówki bolszewickie. Jeżeli się dziś mówi lub pisze o Rosji bolszewickiej, to albo się podnosi okrutne, bestjalskie prześladowania przeciwników politycznych przez tych, którzy niegdyś sami skarżyli się na gwałty i prześladowania ze strony caratu, albo też podnosi się niedostatki aprowizacyjne lub przeciwnie, uwielbia się olbrzymi rozmach, z jakim się tam pracuje nad podniesieniem gospodarczem kraju. Z mego jednak punktu widzenia najbardziej znamiennym jest system terroru, stosowany względem ludności przez organizację partyjną i administrację państwową (G. P. U.) w połączeniu z mistrzowskiem posługiwaniem się środkami demagogicznymi przez rząd bolszewicki, a zarazem bierność ludności wobec terroru rządu, tak jaskrawo odbijająca od oporu, stawianego przez tę ludność rządowi carskiemu. Zamiast podziału ziemi dworskiej, mamy w Rosji Sowchozy i Kołchozy, a odebranie ziemi nawet włościanom dla wprowadzenia gospodarki kollektywnej rząd sowiecki tłumaczy masom, jako wyświadczone im dobrodziejstwo, mianowicie jako walkę z wyzyskującym ich włościaninem-kułakiem. Taksamo wprowadzono w Rosji pracę przymusową, daleko bardziej uciążliwą od dawnej pracy pańszczyźnianej, której przypomnieniem podburza się włościan przeciwko ziemiaństwu, a uwagę ludności odwraca się tymczasem szerzeniem wieści o przygotowywanej przez świat kapitalistyczny wyprawie wojennej dla zniszczenia zdobyczy proletarjatu. Przy-

czyną tego zjawiska jest całkowite wytępienie warstwy inteligentnej, którąby mogła się zdobyć na krytycyzm wobec propagandy bolszewickiej. Powrót dawnych rządów w Rosji, jest wykluczony skutkiem zniszczenia tych czynników społecznych, na których się dawne rządy opierały, t. j. nietylko całego ziemiaństwa, ale i całej dawnej rosyjskiej inteligencji. Z tych przyczyn niemożliwą jest również jakaś burżuazyjno-demokratyczna forma rządu w Rosji. Mimo tego jednak rządy bolszewickie bynajmniej nie czują się silne; z całego szeregu ich dziaałń widocznem jest, że jeszcze bardziej, niż zagranicy, boją się wewnętrznego rozłamu partji, któryby mógł pociągnąć obalenie dotychczasowych rządów sowieckich; a przypuszczać można, że nawet polepszenie doli szerokich mas (zapewnienie im lepszego wyżywienia i t. p.) nie zasłoniłoby rządów sowieckich przed tem niebezpieczeństwem wewnętrznem; co najwyżej mogłoby zmniejszyć niebezpieczeństwo buntu w wojsku i rewolucji ludowej, grożącej dziś Rosji w razie wojny skutkiem niezadowolenia mas.

Najtrudniej wyrobić sobie sąd o hitleryźmie, który jest młodszy od faszyzmu i bolszewizmu. Charakterystycznem jest, że zdobył on władzę środkami legalnymi, wychodząc zwycięsko z wyborów, przy których posługiwał się jaskrawą demagogją i grał na uczuciach narodowych, podrażnionych narzuconymi ciężkimi warunkami pokojowymi, a dopiero zdobywszy władzę, począł przy pomocy bojówek i samowoli policyjnej (np. internowania osób niemiłych w obozach koncentracyjnych) niszczyć inne organizacje partyjne. To użycie bojówek i stosowanie bezprawnych internowań przez stronnictwo, które odniosło zwycięstwo przy wyborach, jest niezmiernie charakterystyczne, bo dowodzi, że rząd Hitlera uważa zamach stanu za rzecz zupełnie łatwą i pozbawioną ryzyka skutkiem bierności spoełczeństwa. O ile zaś rozchodzi się o cele, to widzimy, że hitleryzm stara się naśladować Mussoliniego, ale z powodu odmiennych

warunków musi jego program poddać gruntownej rewizji przed jego wprowadzeniem do Niemiec; na razie widzimy, że bezwzględnie zwalcza on komunizm, propagandę ateistyczną i że ocenia znaczenie czynników moralnych, zawierając konkordat z Watykanem i t. d.

## II.

Jako konserwatysta, zdaję sobie dobrze sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw, któremi grożą rewolucje i przewroty; jako konserwatysta, nie mogę się również pogodzić z demagogią, która wyzyskuje nieznajomość aktualnych problemów politycznych i możliwości względnie niemożliwości politycznych przez te szerokie masy, które przy równem i powszechnem prawie głosowania mają głos decydujący w polityce, a posługiwanie się demagogią w polityce jest, w moich oczach przynajmniej, bardzo podobne do oszustwa, przez które w prawie prywatnem jeden kontrahent nakłania drugiego do zawarcia pewnej umowy i trudno mi się pogodzić z myślą, że te dwa, tak do siebie podobne czyny nieetyczne są jednak przez prawo odmiennie traktowane. Również muszę oceniać ujemnie system rządów, oparty na wyzyskiwaniu bierności politycznej społeczeństwa przez posługiwanie się zamachem stanu, choćby nawet sam program, tą drogą przeprowadzony, zasługiwał na uznanie.

System taki w jednym tylko wypadku zasługuje na usprawiedliwienie, a mianowicie wówczas, gdy skutkiem rozpanoszenia się demagogji i skutkiem atomizacji społeczeństwa nie dałoby się w inny sposób odwrócić od państwa grożącego niebezpieczeństwa; wówczas bowiem salus reipublicae suprema lex esto.

Zarazem zdaję sobie jednak sprawę, że samem potępieniem rewolucji i przewrotów skutecznie ich zwalczać nie

można, lecz że należy usunąć podłoże, na którem mogą wyrastać, a do tego najlepszym środkiem jest odpowiednie wzmocnienie władzy naczelnej w państwie, następnie taka ustawa wyborcza do parlamentu, aby gwarantowała jego wysoki poziom intelektualny i etyczny, oraz, aby w parlamencie zasiadali (o ile to dziś możliwe) ludzie, posiadający sumę wpływów politycznych w społeczeństwie, potrzebną do poparcia rządu w chwilach, krytycznych dla państwa; dalej przeprowadzenie w porę reform, ale w ten sposób, aby nie podkopać dobrobytu społeczeństwa i nie zabić inicjatywy prywatnej; a wreszcie ta świadomość, że prawu Bożemu należy się poszanowanie nietylko w życiu prywatnem, lecz i publicznem i że tak nam potrzebny autorytet polityczny w poszanowaniu prawa Bożego znajdzie skuteczne poparcie.

**Franciszek Bossowski**

# POD ZNAKIEM POLITYCZNEJ „UNJI WSCHODNIEJ”.

Zaabsorbowane aktualizmem trosk codziennych społeczeństwo polskie przyjęło dość obojętnie wiadomość o zawartym w lecie pakcie londyńskim, który złączył pewnego rodzaju sojuszem Polskę, państwa bałtyckie, Rumunję, Turcję, Rosję, Persję i Afganistan, wywierając nadto odpowiednią siłę atrakcyjną na resztę Małej Ententy, o której przystąpieniu do paktu coraz częściej się mówi. I chociaż pakt ten wzmocnił ogromnie stanowisko Polski na świecie i odsunął od nas niebezpieczeństwo przynajmniej wschodniej połowy grożących nam do niedawna kleszczy rosyjsko-niemieckich, to jednak przeciętna opinja publiczna w Polsce robi wrażenie, jakgdyby nie rozumiała, czy nie doceniała pierwszorzędnej doniosłości tego faktu ani pod względem politycznym, ani pod względem pewnych także i gospodarczych korzyści. A przecież mówi się już coraz realniej o kanale Gdynia — Morze Czarne, a więc realizacji tej wymarzonej, wielkiej drogi handlowej, której i „Nasza Przyszłość“ poświęciła rok temu specjalny artykuł, chociaż wówczas sprawa ta mogła wydawać się istotnie tylko marzeniem.

To wszystko przyjęła u nas przeciętna opinja publiczna z taką niemal obojętnością, a może nawet i większą jeszcze, jakgdyby chodziło o pierwszy lepszy wypadek na arenie Ligi Narodów, mający teoretyczne tylko znaczenie. Taktycznie daleko więcej rozpisują się nasze gazety o każdej konferencji genewskiej, czy innej, o każdem przemówieniu jakiegoś efemerycznego przedstawiciela Hiszpanji, czy Urugwaju, o każdem matactwie walutowem, czy rozbrojenio-

wem, nie mówiąc już o każdem chrząknięciu Hitlera — niż o tym, prawdziwie epokowym fakcie paktu londyńskiego, który za jednym niemal zamachem zrealizował dość puste dotąd hasło Polski mocarstwowej.

Jeżeli jednak społeczeństwo nasze, zagłębione jednostronnie w krótkoterminowych aktualjach, przyjęło zbyt obojętnie tę sprawę, to inaczej zareagowały niektóre jego sfery na pewien specjalny jej odcinek, mianowicie nawiązania dobrych stosunków z Rosją Sowiecką.

Tu bowiem odrazu dwa sprzeczne wystąpiły zjawiska. Część opinji publicznej zatrzęsła się z oburzenia na wiadomość o sojuszu z czerwoną Moskwą, który może otworzyć drzwi dla szerokiej inwazji wpływów bolszewickich na Polskę. Inni znów, hołdując bezkrytycznemu radykalizmowi i goniąc za postępem, bez względu na cenę, rozbrykali się z naiwnej uciechy, że teraz wolno już niby trochę pobolszewizować w pojęciach, kulturze i sztuce wobec „serdecznych stosunków“, jakie łączą nas z Sowietami. „Wiadomości Literackie“ wydały specjalny numer o dwudziestu sześciu stronicach „poświęcony kulturze Rosji sowieckiej“, który inauguruje kilkusetwierszowy artykuł wstępny Karola Radka, zatytułowany: „Kultura rodzącego się socjalizmu“. Trudno zdawać tu sprawę z bogatego istotnie materjału, jaki ten numer pisma przynosi, ale to pewna, że można nauczyć się z niego wszechstronnie, jak... muchy na lep lezą!

Jakież stanowisko zająć w tej sprawie?

Nie wydaje się nam ono wątpliwem, zarówno z punktu widzenia trzeźwej polityki, mierzącej rezultaty na dłuższą metę, jak i z punktu widzenia obrony religji, zasad moralnych i polskiej kultury — tej lepszej polskiej kultury.

Otóż przedewszystkiem, naród politycznie dojrzały, o aspiracjach na serjo mocarstwowych, powinien umieć ostrą pociągnąć granicę między niezbędną polityką dyplomatyczną, a racjonalną obroną swej wiary i kultury. Wszak

chwilowe, czy nawet trwalsze przymierze polityczne i militarne, czy konwencje handlowe zawierać może, musi i powinno w danych okazjach państwo katolickie niekoniecznie tylko z drugiem państwem katolickiem. W tej dziedzinie rozstrzygają przecież całkiem inne względy, rzeczowo-utylitarne. Jeżeli więc mamy z jednej strony Niemców, z którymi dobre stosunki w danej sytuacji trudne są na serjo do pomyślenia, a z drugiej strony Rosję, z którą porozumienie okazało się możliwem i która nas z ważnych dla niej względów również potrzebuje, to prosta racja stanu nakazuje zrobić sojusz z Rosją. Jeżeli mogła ultrademokratyczna Francja, będąca centrum wyższej światowej kultury, pozostawać przez kilkadziesiąt lat w przymierzu z caratem, to dlaczego nie ma Polska porozumieć się dyplomatycznie z Rosją sowiecką, zabezpieczając się przez to przynajmniej z jednej strony?

Znane jest czytelnikom zdecydowanie antyrosyjskie nastawienie „Naszej Przyszłości". Akcentowaliśmy nieraz crudis verbis, jak dalece obawiamy się wszystkiego, co rosyjskie, co tchnie zwłaszcza starodawnym, „bratersko-słowiańskim" duchem bizantyńskiego wschodu, z całą jego osłabiającą gangreną filozoficzną i moralną. Ale właśnie dlatego nie obawiamy się dyplomatycznego przymierza z Sowietami, które ów bizantynizm ze szczętem plenią, a pojęciami są nam bez porównania bardziej obce, niż owa niby rzewna, niby głęboka, a jakże perfidna i polakożercza w istocie „burżuazyjna" rosyjska kultura!

Rzecz inna, gdy chodzi o obronę przed duchem i wpływami bolszewizmu. Pod tym względem istotnie zjednoczyć się winno całe polskie społeczeństwo, bez względu na różnice przekonań i nietyle hałaśliwą, ile mocną, nieodpartą przeciwstawić komunizmowi zaporę. Bo niebezpieczeństwo z tej strony jest istotnie wielkie, a bezkrytyczny entuzjazm i nieprzewidująca naiwność mogą rzeczywiście głę-

bokie uczynić spustoszenia w psychice polskiej, pociągając za sobą najgorsze konsekwencje.

Ale tu sedno sprawy leży nietyle w dobrych dyplomatycznych stosunkach z Sowietami i w przeciwstawieniu temu dyplomatycznemu sojuszowi nerwowych frazesów oburzenia, ile przedewszystkiem w opancerzeniu się i wewnętrznemu uodpornieniu społeczeństwa polskiego przeciw ujemnym wpływom. A możemy to tem łatwiej zrobić, że Polska jest chyba krajem o wyższej i starszej i bardziej ufundowanej, niż Rosja, kulturze i za taką zawsze ją Rosja uważała i uważa. A skoro tak, to przez kontakt nasz z Sowietami one powinny od nas czegoś się uczyć, a nie naodwrót. Na tem stanowisku winniśmy stanąć, podnieść głowę do góry i nie dać sobie ustrojowi sowieckiemu imponować.

Stąd daleko groźniejszym objawem, niż wszystkie inne niebezpieczeństwa, są dla polskiej kultury te prawdziwie dziecinne zachwyty, z jakimi powracają do Polski różni nasi wycieczkowicze, głosząc swe „wrażenia" z bolszewickiego raju. A główną sprężyną tych zachwytów, publikowanych potem w polskiej prasie i po różnych, z pozoru poważnych zebraniach, jest po prostu zachłanność robienia dobrych interesów za wszelką cenę, nawet za tę, że te interesy wnet wioskami potemkinowskiemi się okażą. Tak, auri sacra fames — oto najgłębsze sedno owego dziwacznego entuzjazmu dla „rozwoju gospodarki sowieckiej", jakiego nieraz bywamy świadkami w zażywnych, a naiwnych polskich kołach. Śnią się tym ludziom — nieraz niby wielkim postępowiczom — legendarne bogactwa Krzywego Rogu i złotodajne brzegi Leny. Ot, na czem w gruncie rzeczy „filosowieckie" nastawienie niektórych naszych sfer polega!

A nadto wielu Polakom imponują wciąż jeszcze owe niezmierzone rosyjskie przestrzenie, na których słabsze polskie mózgi schodzą na manowce, a cóż dopiero, gdy zwie-

dząjąc te przestrzenie dzisiaj, po niszczącej rewolucji, skonstatują, że zamiast spodziewanego ludożerstwa znajduje się tam tu i ówdzie jakiś fabryczny gmach wielopiętrowy!

Tu więc, a nie w politycznym sojuszu, leży największe dla nas moralne niebezpieczeństwo. Ale wziąć się trzeba do tego przedewszystkiem w ten sposób, aby wyśmiać najpierw tych wszystkich, którzy, przeceniając znaczenie zwykłego politycznego porozumienia i możliwych z niego korzyści realnych, wpadają w entuzjazm dla kultury i gospodarki sowieckiej, poświęcając im artykuły, mowy, a nawet specjalne wydania pism polskich. Powtarzam: wyśmiać, bo to najskuteczniejsze narzędzie i jedynie godna odpowiedź kulturalnie i moralnie wyższego społeczeństwa. Przecież takiego np. artykułu towarzysza Radka, zawierającego bardzo sprytnie sojusz nowej kultury sowieckiej z literaturą mickiewiczowską przeciw bezpłodności literackiej dzisiejszej emigracji rosyjskiej i to na łamach podobno najpoczytniejszego w kraju tygodnika literackiego, trudno chyba na serjo traktować. Dowcip z „Muchy“ i nic więcej, ale zły, szkodliwy dowcip — zwykła reklama prasowa, jak „Radion sam pierze“, ale reklama bardzo kiepskiego towaru, który nie pierze, lecz brudzi!

A zresztą, czy taki system informowania publiczności o stosunkach w Rosji jest właściwy? Czy artykuły z pod piór różnych bolszewików, gloryfikujące oczywiście rezultaty komunizmu, mogą nam dać objetkywny obraz rzeczywistości sowieckiej? Oczywiście, że nie, a stają się tylko narzędziem komunistycznej propagandy, która zrezygnowawszy z dróg terroru i konspiracji, występuje teraz daleko skuteczniej i swobodniej w szacie „kulturalnej“, stawiając się z powagą i patosem na równi z całym naszym dorobkiem cywilizacyjnym. A rzeczywistość rosyjska tembardziej przed oczyma mniej krytycznej opinji zachodniej się zaciera.

Jakże między sobą śmiać się muszą sami bolszewicy,

widząc radosną gotowość naszych poczytnych pism głoszenia nowej, proletarjackiej i antychrześcijańskiej wiary, kultury, gospodarki, ustroju i sposobów myślenia! Ofiarowali się poświęcić wzamian specjalny numer jednego ze swych wydawnictw polskim autorom dla opisu naszej kultury. Ale tam opisy o kulturze „zgniłego zachodu" nie zrobią z pewnością takiego wrażenia!

Powie ktoś może, że ujarzmieni i niejako cywilizujący się na łamach polskiego wydawnictwa pisarze i politycy bolszewiccy są daleko mniej niebezpieczni od penetrującej przez zakonspirowane jaczejki tajnej bibuły. A ja twierdzę, że daleko więcej, skoro tajna bibuła, z natury rzeczy licha, nosi w oczach opinji naszego ogółu bądź co bądź piętno wywrotu i występku, ściganego przez policję i kodeks karny; gdy tymczasem legalnie i niejako z tryumfem w pismach naszych zamieszczane artykuły bolszewickie lub filosowieckie, wyśrubowane pozornie na wysoki poziom, zastrzykują truciznę bez przeszkody, ba, nawet z pieczęcią autorytetu naszej kultury! Jest to bardzo niebezpieczne i lekkomyślne igranie z ogniem.

Ale nie wystarcza na to wszystko oburzać się i tu i ówdzie protestować. Rzecz główna, powtarzamy, leży w opancerzeniu się przed złym wpływem. A to wymaga odpowiedniej tężyzny, energji i aktywności społeczeństwa, a zwłaszcza wyższych sfer jego inteligencji. Żadne głosy protestu nie pomogą, jeżeli te sfery nasze pozostaną bierne, pogrążone w krótkowzrocznym aktualiźmie, maraźmie i zaniku woli, niezdolności do pozytywnej inicjatywy i czynu.

Otóż pytam, co robią ci wszyscy, którzy w Polsce oburzają się na owo „otwarcie drzwi" wpływom bolszewickiej kultury, co robią na serjo i co są zdolni i gotowi zrobić, aby tym wpływom naprawdę się przeciwstawić? Czy jest możliwą jakaś poważna, zdecydowana, na większą skalę zakrojona kontrakcja w polskiem społeczeństwie, zdolna sparaliżować nietylko bolszewickie, ale i różne inne

złe wpływy, które ze wszech stron do Polski się wdzierają, a nawet i w samej Polsce wśród naszych współrodaków mają nieraz swe źródła? Bo czyż same tylko wpływy sowieckiej kultury są dla moralności i tężyzny i ładu społecznego w naszym narodzie szkodliwe? Czy niema żadnych innych niebezpieczeństw? I czy one, wszystkie razem, nie godzą viribus unitis w przyszłość narodu i państwa?

Jakież realne rezultaty i fakta dokonane może przeciwstawić wyższa inteligencja polska propagandzie idei amoralnych, radykalnych i wywrotowych? Bo przecież tylko jakieś konkretne czyny i fakty mają tu znaczenie, a nie najlepsze zamiary, wysoka erydycja i tym podobne, potencjalne tylko walory. Czy można oderwać w Polsce elitę inteligencji — bo ona przecież powinna w każdem dobrem dziele przodować — od codziennego krążka zajęć prywatnych i natchnąć ją silną wolą jakiegoś zbiorowego, konsekwentnego publicznego czynu?

Chciałem tu o tem pisać, bo na tym torze leży uodpornienie społeczeństwa przeciw demoralizującym zakusom. Ale dowiedziałem się, że inny mój kolega po piórze z grona „Naszej Przyszłości", który lepiej orjentuje się w tych sprawach, już napisał artykuł, który całkiem przypadkowo, bez żadnego między nami porozumienia, wykłada dokładnie to właśnie, co tu chciałem powiedzieć.

Składam więc pióro i głos mu oddaję.

J. K.

# KARTA, KTÓRA SIĘ ZAMYKA...

Każdy uważny obserwator, który śledzi ewolucję naszych stosunków w ostatnich kilkunastu latach, musi zauważyć pewne osobliwsze zjawisko, pewien proces, wprawdzie mniej jaskrawy od różnych głośnych problemów, potrzeb i piekących bolączek doby obecnej, ale sięgający głębiej, niż one, w organizm naszego społecznego ustroju i porządku.

A proces ten począł się już na przełomie wojny światowej, w zaraniu naszej wskrzeszonej niepodległości. Zabłysła bowiem niepodległość ta dość niespodziewanie, prawie nagle, wśród atmosfery niemal rewolucyjnej. Radość i tryumf z odzyskania wolnej ojczyzny przyćmione zostały wówczas płomykami socjalno-rewolucyjnego nastroju, wybuchającymi gęsto na ziemiach nieskonsolidowanego jeszcze państwa. Polska zaczęła tworzyć się, a raczej improwizować na gruzach powszechnego powojennego chaosu, między pożarami dwóch krwawych rewolucji na wschodzie i zachodzie, drogą i metodą chaotyczną, dorywczą, daleką od torów utartego legalizmu. Nie wywrotem wprawdzie, ale bądź co bądź przewrotem.

Wszystkie niższe i najniższe warstwy społeczeństwa, trzymane dotąd na ziemiach rozebranej Polski w karbach i niejako na drugim planie społeczno-politycznym przez ów właśnie dawny utarty porządek rzeczy, dorwały się nagle do steru rządów młodego państwa i do steru opinji publicznej, stwarzając nowy ład, djametralnie sprzeczny z tem wszystkiem, do czego wyższe warstwy społeczeństwa nawykły i czego się w marzeniach swych po mającej się kiedyś odrodzić ojczyźnie spodziewały.

I w takiej sytuacji gatunkowo cięższe, wykształceńsze i kulturalnie wyżej stojące sfery społeczeństwa — skapitulowały. Przestraszone gestem demagogji i liczbą, którą ona rozporządzała, skapitulowały bez walki, bez moralnego oporu i w przeważnej części wycofały się z życia publicznego, pozostawiając nietylko ster państwa, ale nawet wpływ na opinję publiczną całkowicie w rękach demagogji. Rozpętało się bezkrytyczne, dziwaczne, eksperymentujące nowatorstwo w całym kraju, we wszystkich dziedzinach życia publicznego, z których sięgnęło głęboko w życie prywatne, stawiając wszystkie zdrowe pojęcia i zasady do góry nogami. Jednej tylko Rosji Sowieckiej ustępowała Polska wówczas nowatorskim rozmachem, wyprzedzając nim zresztą wszystkie inne kraje na świecie.

A sfery wyższej, umiarkowanie myślącej inteligencji wszelkiego zawodu nie śmiały z żadną zdecydowaną wystąpić kontrakcją, nie podjęły żadnej, na większą skalę zorganizowanej próby trzeźwiącego wpływu na opinję publiczną. Cofnęły się, ustąpiły placu, a rzadkie głosy protestujące nielicznych odważniejszych jednostek lub niedość udolne, również sporadyczne usiłowania pewnych zbiorowości pozostały bez echa i wpływu.

W wielu natomiast, bardzo wielu wypadkach zauważyć się dał wpływ rozigranych sfer niższych na wyższe. Rzec można obrazowo, że słowo niepiśmiennego proletarjusza zaczęło być dla warstw wykształconych niejako prawem i to nietylko prawem wymuszonem—co byłoby więcej zrozumiałem — ale stopniowo nawet prawem, z przekonania uznanem. Wyższe warstwy wszelkiego rodzaju zaczęły niejako ścigać się z niższemi o prymat w postępie. A siła inercji i rozpędu sprawiła, że ów wyścig o „postępowość z przekonania“ kontynuowały i kontynuują wyższe sfery społeczeństwa nawet już po okresie przełomowym, gdy szerokie masy ludowe przekonały się z własnego, dotkliwego doświadczenia, że demagogiczny postęp

i bezkrytyczne nowatorstwo przynoszą im postępową nędzę, zamiast spodziewanych korzyści i dlatego w pogoni za postępem dawno już ustały.

Taka polityka mści się i prędzej czy później musi wydać fatalne rezultaty. To też zwolna, drogą niejako ograniczonego procesu, różne wyższe sfery naszego społeczeństwa zaczęły w sile swej żywotnej słabnąć, tracić twórczość i po raz wtóry schodzić z areny publicznej — ale już nie pod naciskiem demagogji, lecz nawet w warunkach wyjątkowo korzystnych, jakie nastały po przewrocie majowym, gdy groźba nacisku ze strony partji radykalnych i masowych została stopniowo usunięta.

Prawda, że zbiegiem okoliczności ciążyć zaczął w tym właśnie okresie szczególnie dotkliwie kryzys gospodarczy, powszechny zresztą na całym świecie. Ale zjawisko to, utrudniające i ograniczające skalę aktywności wszystkich, bez wyjątku, sfer w społeczeństwie, nie tłumaczy jeszcze samo przez się tego groźnego marazmu, tego zniechęcenia, tego jakiegoś beznadziejnego fatalizmu, któremu uległy przedewszystkiem właśnie wyższe sfery inteligencji, tracąc wszelką inicjatywę i zdolność działania, nawet tam, gdzie inicjatywa i aktywność żadnych, albo niewielkich tylko wymaga środków.

Odnosi się wrażenie — pomijając szczegóły i wyjątki, a obserwując rzecz tylko z wyższego punktu widzenia i w dalszej perspektywie — jakgdyby jakaś wielka karta dziejowa zaczęła się zamykać. I to karta, bogato ilustrowana świetną tradycją, reminiscencją wielowiekowego autorytetu, erudycją i władzą, jaką dają w społeczeństwie wysokie walory moralne i materjalne.

A mam tu wyraźnie na myśli nie jakąś poszczególną grupę, czy sferę, czy organizację polityczną, społeczną lub zawodową, ale — z pewnymi oczywiście wyjątkami — mniej więcej ogół tej całej, bardzo licznej w Polsce elity kulturalnej, która robiła w narodzie naszym historję, z któ-

rej egzystencją, pracą i zasługami na wszelkich polach związane było pojęcie wyższej cywilizacji, gospodarki i wszelkich wogóle wyższych walorów społeczeństwa polskiego.

Jakto — zarzuci ktoś — czyż sfery te nie pracują? Czyż nie odgrywają swej roli w miarę sił i możności?

Pozornie tak, ale w głębszej istocie rzeczy i w perspektywie lat szeregu zanik twórczej pracy i twórczej roli uwidacznia się w jaskrawym kontraście w porównaniu z niedawną jeszcze przeszłością. Pracują, o ile naprawdę pracują, ale niemal wyłącznie tylko z dnia na dzień, bez programu i dogmatu i wiary w siebie, kurcząc się w tej pracy coraz bardziej do interesów prywatnych, traktowanych dorywczo, przyczem na jakąkolwiek skoordynowaną akcję publiczną, która właśnie teraz niewielkimi środkami doniosłe mogłaby wydać rezultaty, brak czasu, chęci i moralnej siły.

Może nieprawda, czy przesada? Niechże ktokolwiek usiłuje podjąć w kraju — o ile nie jest rządem, ale jednostką lub zrzeszeniem prywatnem — jakąkolwiek użyteczną inicjatywę, nie wymagającą nawet intensywnej pracy lub znaczniejszych środków, ale tylko nieco rozumnej refleksji, konsekwencji i dobrej woli! Wnet twarde i gorżkie doświadczenie przekona, że nic nie można zrobić. Sześciu wołami — jak to się mówi — nie zdołasz pociągnąć nawet istotnie inteligentnych ludzi do jakiejkolwiek celowej, skoordynowanej akcji, z której dobry rezultat może być stopniowo osiągnięty!

I stwierdzić muszę na podstawie dłuższego, codziennego doświadczenia, że nie kryzys, nie brak pieniędzy grają w tem główną rolę. Zapewne, stanowią w znacznym stopniu hamulec dla podjęcia jakichś wielkich, kosztowniejszych zamierzeń. Rozumiem, że muszą w pewnej mierze osłabiać i zniechęcać wolę. Ale istoty rzeczy nie tłumaczą. Mamy tu wyraźnie do czynienia z psychozą, zrodzoną

owym faktem kapitulacji sfer wyższej inteligencji wobec nowoczesnych zadań i stosunków.

Bo że w trudnej konjunkturze gospodarczej każdy stara się intensywnie koło swych interesów zabiegać, to rzecz zrozumiała. Było to przecież i dawniej, gdzie też nie każdemu życie na różach się ścieliło. A jednak większa była tężyzna, większy zmysł do borykania się z losem i nikt nie wymawiał się, jak dzisiaj, od pewnego przynajmniej udziału w zbiorowej pracy publicznej pretekstem, że nie ma na nią czasu, gdyż przez 24 godzin na dobę i przez 365 dni w roku musi poświęcać się wyłącznie wąskiemu krążkowi swych osobistych spraw i interesów.

Ten właśnie generalny pretekst „nawału zajęć" jest najwymowniejszym i najbardziej paraliżującym symptomem gasnącego świata. On to bowiem w pierwszym rzędzie unicestwia realizację wszelkich użytecznych zamierzeń, wszelką możność walki ze złem i z kryzysem. On rozluźnia i osłabia wszelką pracę zbiorową, niezbędną przecież w nowoczesnym organiźmie społecznym. Dźwięk tych dwóch słów—sygnałów tępego, jałowego egoizmu—powoduje beznadziejne opuszczanie rąk przed każdą niekorzystną sytuacją, która jednak dałaby się zwyciężyć lub przynajmniej złagodzić.

Deprymującą regułą, wśród niezmiernie rzadkich wyjątków, stało się zjawisko, które niemal codziennie mam sposobność właśnie w wyższych, zamożniejszych, wykształconych sferach spotykać. Ktoś, komu się wcale jeszcze nie najgorzej dzieje, wszczyna krytyczną rozmowę na temat dzisiejszych stosunków, grzmi na bierność i marazm społeczeństwa, wyrzuca z ust jednym tchem najtrafniejsze, najrozumniejsze wnioski i zasady, porywa wręcz słuchacza, ale zaproszony, aby choć w drobnej mierze zechciał wziąć udział w jakiejś użytecznej akcji zbiorowej, mającej właśnie na celu realizację jego, z taką emfazą głoszących postulatów, odmawia z miejsca pretekstem „na-

wału zajęć“ i wyciągając zegarek stwierdza, że ma za pięć minut spotkać się z kimś w jakimś arcyważnym interesie.

Proszę zwrócić uwagę na to bezspornie patologiczne zjawisko, które zdarza się niemal w stu na sto wypadków. Zabiera się ludziom szereg godzin czasu na pompatyczne perory, aby potem nagle wykazać niechęć do czynu wymówką rzekomego nawału zajęć prywatnych. Taki typ ludzi istniał dawniej przeważnie tylko w komedji, na deskach scenicznych — dzisiaj stał się niemal regułą — zastraszającą, deprymującą regułą w „elicie“ społeczeństwa!

Gdziekolwiek, z kimkolwiek, cokolwiek chcesz począć w kraju pozytywnego, twórczego, ale nie w jałowej dyskusji, nie w błyskotliwie zainscenizowanem zebraniu biernych w gruncie rzeczy słuchaczy, ale w czynie, w jakiejś produktywnej, konsekwentnej akcji, uderzysz wnet głową o twardy mur obojętności, lekceważenia, apatji i owego nieszczęsnego „nawału zajęć“ — największego wroga wszelkich prywatnych zamierzeń. Tak — jeżeli rząd, jeżeli jakaś władza zawezwie do działania i da na to środki, to jeszcze garną się ludzie, starają się wykazać, że coś robią, lub chcą zrobić, jedni ze strachu, drudzy ze snobizmu, inni w nadziei jakichś doraźnych korzyści, stanowisk, mandatów, karjery, wyrobienia sobie stosunków. A gdzie niema inicjatywy rządu, ułatwionej państwowym kapitałem, gdzie brak jakiejkolwiek specjalnej „atrakcji“, ale gdzie inicjatywa wyższego intelektu społeczeństwa ma sama coś zdziałać, tam nie jesteś wstanie nakłonić ludzi do zbiorowej, konsekwentnej akcji i dobrze jeszcze, jeżeli przy tem usiłowaniu wrogów sobie nie stworzysz.

Dziwna to elita społeczna, wygadująca po cichu na etatyzm rządowy, a w gruncie rzeczy zetatyzowana nawskroś znacznie więcej, niżby tego krajowi największy urzędnik-etatysta mógł życzyć. Bo i etatyzm żąda jednak twórczości, a nie bierności i marazmu wśród obywateli. A tu mamy wciąż i wszędzie do czynienia z epide-

micznym symptomem, że nikt wśród warstw wyższych niczego bez rządu podjąć nie chce. Nic dziwnego, że w takich warunkach koncepcja nowej Konstytucji idzie w kierunku tworzenia jakiejś nowej elity, ostatecznie niezbędnej organizmowi państwowemu, sposobem sztucznym, mechanicznym, według jakiegokolwiek obranego systemu.

Są w państwie pierwszorzędne problemy i zadania, których zbadanie, ustalenie i konsekwentne rozwiązanie, na bliższą lub dalszą metę, jest naturalną rolą i obowiązkiem elity społecznej. Oczekuje tego po niej każdy. Ale oto pokazuje się, że u nas, zwłaszcza w ostatnich czasach, elita społeczna bez podniety i pomocy rządowej żadnego doniośLejszego zadania z jakiejkolwiek dziedziny nie jest wstanie się podjąć. Od szeregu lat nie słyszałem o żadnym takim wypadku, nawet w dziedzinach, gdzie nie potrzeba wielkich kosztów, aby coś naprawdę użytecznego przeprowadzić. Słyszę o perypetjach karteli, jako owocu pewnej elity gospodarczej, o zebraniach ziemiańskich pod sztandarem ulg finansowych i innych doraźnych interesów prywatnych, o zgromadzeniach i rezolucjach różnych innych zrzeszeń zawodowych, gdzie też tylko o pewnych doraźnych interesach mowa. Ale pozatem, gdzie ślady jakiejś prawdziwie twórczej działalności elity społeczeństwa w kraju? Tylko tam i wówczas, gdy rząd da środki, inicjatywę i — bądźmy szczerzy — jawną lub cichą komendę.

Pozatem chyba tylko książki, broszury i odczyty — mam oczywiście na myśli tylko te, które cośkolwiek mają do czynienia ze sprawą publiczną. Ale jakież to książki, broszury, artykuły lub przemówienia płodzi, ogółem biorąc, dzisiejsza elita? Proszę głębiej wczytać się i wsłuchać. Z nielicznymi wyjątkami wszystko chwiejne, płynne, niewyraźne, często mgliste, z nadmierną ilością cytat z obcej literatury, aby błyskotliwą erudycją pokryć istotny brak własnych przekonań, odwagi cywilnej — o ile ta wogóle tutaj potrzebna — i silniejszej kości pacierzowej. Z na-

szej współczesnej literatury naukowej, dotyczącej spraw publicznych, dowie się czytelnik właściwie tylko tego, że nic niemasz pewnego na świecie, że brak w ogólnem trzęsawisku erudycji nawet piędzi stalszego gruntu, na którym oprzećby się można. Jednym autorom imponuje błyskotliwa djalektyka etranżerów, drudzy chcą się à outrance z czemś nadzwyczajnem popisać, chcą niby tworzyć jakieś przełomy pojęć, których nie ma wcale, inni boją się zarzutu wstecznictwa i „sądu wnuków" i dlatego propagują nawet takie koncepcje postępowe, o których się na serjo może nawet i trzeźwiejszym rządcom dzisiejszej Rosji nie śniło.

A przedewszystkiem — rzecz bardzo znamienna — z tych wszystkich dzieł i odczytów niemasz żadnego głębszego, trwalszego efektu! Napisał, powiedział, przeczytano, wysłuchano i — na tem koniec. Dawniej jeden artykuł w poważnym dzienniku poruszał żywo opinję publiczną, jedna mowa stanowiła epokę, jedna książka szkołę, która zdobywała licznych adeptów i wywierała wpływ na pojęcia i kierunek pracy społeczeństwa. Dzisiaj nic podobnego, nawet w dalekiem przybliżeniu. Bo dzisiaj ogół dzieł, artykułów i przemówień ma charakter typowo informacyjno-statyczny, pozbawiony wszelkiego pierwiastka twórczego dynamizmu. Oportunizm wyjałowił przekonania, wolę, myśli i pióra. Można być lub nie być na „zebraniu", czy „odczycie", można czytać lub nie czytać danej książki, czy broszury, czy artykułu — nic się na tem nie straci.

Elita przestaje być czynnikiem pragmatycznym, dynamicznym w kraju. Traci niemal z dnia na dzień zdolność twórczą. Kurczy się do stanu statyki i to chwiejnej, bezwolnej statyki, w której zwolna zamiera, przyćmionym już tylko świecąc gdzieniegdzie jeszcze światłem, a raczej nie prawdziwem światłem, lecz tylko fosforescencją próchna.

Proszę wskazać choćby jedno donioślejsze dzieło trwałe, o charakterze ogólnej użyteczności publiczej, dokonane

przez wyższą elitę społeczeństwa — w dawnem tego słowa znaczeniu — w ciągu szeregu lat ostatnich własną jej mocą, własną inicjatywą i konsekwentną pracą. Niemasz ani jednego! Co najwięcej spalone na panewce zamierzenia, albo przeorganizowywanie ratunkowe dawnych instytucji i to na ogół z ujemnym skutkiem. Wszystko się rozpada, a dobrze jeszcze, jeżeli rozpada się cicho, bez przykrych śladów.

Gdyby mi kazano pisać dzieje ostatnich lat dziesięciu i uwypuklić w nich rolę wszelakich wyższych sfer prywatnych naszego społeczeństwa, to zaprawdę w nielada byłbym kłopocie! Bo brakłoby mi materjału. Nie miałbym o czem pisać. Projekty, starty, zebrania, mowy, artykuły, nowe organizacje i zarządy i perypetje wszelkiego rodzaju i podrywanie się niby do lotu i chwilowe błyski meteorów — tak, ale jakież ostateczne z tego wszystkiego rezultaty? Żadne — a raczej gorzej jeszcze, niż żadne, bo publiczne złożenie dowodów, że żadnych być nie może.

A wszelką czynniejszą inicjatywę, planową, rozumnie przewidującą, jeden zawsze z reguły w tych sferach los spotyka: gratulacje bez pomocy! Pochwały i pochwały i słowa zachęty do „dalszej pracy" — ale nikt nawet palcem nie ruszy, żeby pomóc, nikt nie potraktuje na serjo. Dobrze jeszcze, jeżeli wprost nie szkodzą, bo i to nieraz bywa. Aktywność, inicjatywa, konsekwentna robota, to rzeczy nader niewygodne w gronie tych, którzy nic nie chcą zrobić. To budzi wyrzuty sumienia, mąci wygodny kwietyzm, razi na tle oportunistycznego marazmu. A więc precz z tem, niech zniknie, niech „nie przeszkadza"!

I zrzeszony opór, nieraz cichy, tajny, ale mocny — ach, jak nieraz mocny! — paraliżuje i grzebie sprawę. Grzebie czasem wysiłki i ciężką pracę długich lat i już, już prawie osiągnięte rezultaty!

Są oczywiście wyjątki. Może nawet i sporo wyjątków. Ale w paraliżującej atmosferze ogółu i te żywotne

jeszcze wyjątki nie mogą skutecznie działać, choć znać po nich, że zdolne byłyby do tego w innem otoczeniu. Szarpią się nieraz napróżno, biją w mur głową. Ale twórczość ich i najlepsze chęci unicestwia marazm gasnącej elity.

A nad tem wszystkiem ciąży głazem olbrzymi, chorobliwie rozrośnięty aparat organizacji polityczno-społeczno-gospodarczych i innych, nieproporcjonalnie rozdęty, kosztowny, krępujący, bezużyteczny i napół zmartwiały, który bezspornie daleko więcej dzisiaj twórczość hamuje, niż wspomaga. Prawdziwy rak, wysysający z organizmu soki żywotne, a zwłaszcza pieniądze, na swą pasorzytniczą egzystencję. Olbrzymie aparaty biurowe, fantastyczne częstokroć wynagrodzenia ludzi, którzy zahipnotyzować zdołali innych, że są niezastąpieni, gdy trzeźwiejsza analiza rzeczywistości łatwo może wykazać, że haracz, jaki im składa społeczeństwo, niczem, ale to niczem nie jest uzasadniony i że pierwszy lepszy za stokroć tańszą cenę, z równym, albo i z większym pożytkiem mogłby ich zastąpić. Każda bolączka, każda potrzeba, każdy cierpiący pod takim czy innym kryzysem dział twórczości ludzkiej, zamiast pożądanej pomocy, znosić musi na sobie monstrualny ciężar aparatu organizacyjnego, który — niezainteresowany bezpośrednio w danym cierpiącym organiźmie, lecz żyjący z niego, żyjący z jego deficytu i choroby — krępuje mu nawet możność poderwania się do samopomocy.

Stronnictwa bez programu i pragmatycznej inicjatywy, gospodarstwo, pracujące nie dla własnych zysków, lecz dla nadrzędnych swych organizacji, nauka i erudycja, zaplątana w dżungli usiłowań nowych koncepcji, a tworząca trzęsawisko pod nogami, fikcja czynu w postaci djalektyki bez rezultatu, walka z etatyzmem przy psychicznej niezdolności zrobienia kroku bez pomocy rządu — oto rzeczywista rzeczywistość gasnącej elity.

Karta dziejowa stanowczo się zamyka...

Czują to z młodszych niektórzy, może niecałkiem

świadomie, ale czują. I usiłują buntować się przeciw tej katastrofie. Ale wrośli w tę atmosferę zaniku, nie wiedzą, co robić i jak robić. Rzucają więc dokoła siebie „piorunami idei“, które są jednak tylko piorunami frazesów. Oponują przeciw wszystkiemu, co żyje i istnieje. Ciskają się bez planu i konsekwencji, aby tylko głośno było o nich. Ale i oni cierpią wyraźnie na brak dynamizmu, na dziedziczną niezdolność wykonania zadań konkretnych. Im też imponuje zewnętrzny blask zebrania, pozory wpływu i władzy, piękny artykuł, subtelna djalektyka, patos gestów, za czem wszystkiem nicość zieje. Chcą tworzyć coś nowego, a stają do wszystkiego w opozycji, plątając się sympatjach lub antypatjach osobistych, nie rozumiejąc, że dziś reklamą i hałasem niczego się nie stworzy.

W braku pozytywnych zadań i celów tworzą sobie fikcyjnych wrogów, aby móc z kimś walczyć, coś wogóle robić. Chcą nagwałt politykować, kiedy dzisiaj coraz mniej miejsca na politykowanie, na stronnictwa, „przekonania“, drżączki wyborcze i bunty, a czas natomiast na niereklamowaną, z planem i konsekwencją prowadzoną pracę w którejkolwiek dziedzinie.

I to więc tylko ostatni połysk odwracającej się karty. Śladu po nim nie zostanie — oprócz może posiewu jałowej nienawiści.

A gdy jedna karta się odwraca, odsłania się z kolei rzeczy następna. Ta nowa stanowczo innym napisana będzie stylem. Sądzę, że mimo wszelkich formalnych zmian i poprawek, tendencja jego nie będzie rewelacyjnie nowa. Będzie styl ten nawet mniej sztuczny, mniej nerwowy, mniej „rewelacyjny“, bo w międzyczasie piwo się wyszumi. Będzie spokojniejszy, trzeźwiejszy, zgodniejszy z prawami natury. Ale całkiem inną pisany będzie ręką! Ręką elity, ale innej elity, tej, która stopniowo się wyłoni i z tytułu swego pragmatycznie wylegitymuje. Program nie nowy — ale nowością w nim będą pozytywne czyny,

trwalsze dzieła i zdolność tworzenia. Nastąpi odświeżenie atmosfery drogą „wymiany mózgów“. Zaczną ludzie dążyć do czegoś sami z siebie, bez obcej podniety, czy nakazu i nauczą się cenić treść, a mniej formę i rozróżniać głębszą treść od błyskotliwej formy. Przestaną imponować im różne rzeczy, które dziś powierzchownej opinji tak bardzo imponują. Zwycięży trzeźwiejszy pogląd na ludzi i sprawy i to bez względu na takie, czy inne normy państwowego ustroju.

Skąd wyjdą ci nowi ludzie, ta nowa elita? Ależ oni są już wśród społeczeństwa, gotowi i chętni do pracy i już nawet od dawna na wszelkich stanowiskach pracują i w różnych okazjach wykazują i hart ducha i zdolność twórczą i błyski talentu i wysoką nieraz kulturę. Tylko są jeszcze nieco zahukani, nieśmiali, często nieświadomi swej roli i swych zdolności, przygnieceni starodawnym systemem, przyzwyczajeni od młodości oglądać się na to, co się świeci. Ale zwolna muszą wyjść na czoło, bo naród żywotny wstecz cofać się nie może. Jeżeli ma istnieć, to musi mieć elitę, a jeżeli jedna ginie, to inna musi wyłaniać się na jej miejsce naturalnym rzeczy porządkiem. A to pewna, że w wieku XX-ym prawdziwa elita intelektu, z pełnią zdolności twórczych, coraz więcej będzie znaczyć. Inne kategorje ustępywać jej będa wskutek własnego bezwładu. Składa się na to wszystko, cały rozwój stosunków, imperatywne wymagania struktury gospodarczej i rosnący wraz z postępem kultury i techniki objektywizm, wykluczający wszelkie, niedostatecznie uzasadnione przywileje.

Wejdą w tę sferę nowej elity ci wszyscy ludzie z dawnej, którzy okażą się indywidualnie tego warci, którzy wykażą zdolność dotrzymania kroku tej wielkiej ewolucji. Tych nazwiska i dzieła przejdą na nową kartę.

Oby tych właśnie było jaknajwięcej, gdyż nie pragniemy bynajmniej zbyt gwałtownej ewolucji! Przeciwnie, niechże przyszłość będzie jaknajsilniej związana z przeszło-

ścią. Niechże nowe sfery, stające na czele społeczeństwa, znajdą wśród siebie jaknajwięcej filarów!

Wszystko to, co tu mówię, odnosi się oczywiście tylko do prywatnych sfer społeczeństwa. Ich tylko proces reorganizacyjny mam na oku. Bo ludzie, którzy rządzą, którzy tę rolę, mandat i odpowiedzialność wzięli na siebie, z natury rzeczy muszą konsekwentnie i samodzielnie pracować, muszą wykazywać zdolność rządzenia, a jeżeli przez dłuższy czas rządzą i skutecznie, jeżeli wykazać się mogą szeregiem dzieł dokonanych w polityce zewnętrznej i wewnętrznej, to tem samem tworzą już elitę. Zresztą, powtarzam, nie sprawa rządów i państwowego ustroju znajduje się na owych odwracających się kartach, lecz kwestja żywotności i tężyzny pewnych warstw społeczeństwa. O nie tu chodzi.

Kto więc tężyznę tę w sobie czuje, zerwać się powinien, aby nie zostać w tyle mimo wszelkich walorów, jakimi rozporządza. Walory te trzeba zaktywizować, bo potencjalne tylko walory żadnej praktycznej nie mają wartości. Ciężkie położenie gospodarcze żadną nie może być wymówką, żadnym pretekstem do uprawiania afektowanego marazmu! Bo najpierw te sfery, których karta i rola zdaje się zamykać, w porównaniu z innemi mniej ciężko dotknięte są kryzysem, nie giną z zimna i głodu, nie odczuwają klęski bezrobocia. A powtóre, jeżeli ciężkie są czasy, to jeden powód więcej, aby zerwać się do aktywności na arenie publicznej, podać sobie ręce i zbiorowym wysiłkiem stawić klęsce czoło! Wszak upadek obecny warstw wyższych na tem właśnie polega i w tem się objawia, że zamiast skupiać się w potrzebie, rozpraszają się luzem, każdy w głąb swego podwórka i wykazują jawną niechęć do zbiorowej, systematycznej, produktywnej akcji. Każdy zamyka się w swym „nawale zajęć“, w swej splendid isolation i dlatego właśnie traci zdolność przetrwania i oporu.

Mimo wszystko, co widzę, mimo coraz głośniejszego

szelestu zamykającej się karty, nie chcę, nie mogę jednak uwierzyć, aby zamknięcie to bez dużej reszty miało nastąpić. Nie chcę także i dlatego, że poważne grożą nam niebezpieczeństwa. Ze wszech stron gromadzą się wstrząsy i pokusy. Płynie wszelka gangrena. Niewiadomo, jakie zakusy na sumienie nasze, na sumienia naszego ludu, przyjdą jeszcze ze wschodu i zachodu. Niewiadomo, jak niebezpieczne nastroje wyłonić się mogą w niedalekiej może już przyszłości na tle np. stosunków gospodarczych, pociągając za sobą w konsekwencji także podobnie niebezpieczne tendencje w różnych innych dziedzinach. Trzeba zawczasu zbroić się przeciw temu i gotować. A to wymaga istnienia prawdziwej, żywotnej elity w narodzie. Wymaga nadewszystko wzmocnienia ducha religijnego, ale tak silnego, żeby mógł opancerzyć nas przed rozkładowym wpływem jakiegobądź rodzaju. A wiadomo, że rozkład i słabość i idee wywrotowe prawie nigdy z ludu nie wychodzą, ale z reguły od warstw wyższych. Naodwrót więc, tylko tężyzna moralna i aktywność warstw wyższych mogą wszelakiej gangrenie społecznej skutecznie stawić czoło. Ale tu nie wystarczy mówić, nie wystarczy gdzieś coś napisać. Tu czyn wystąpić musi w całym szeregu odpowiednich faktów dokonanych. Przykład warstw wyższych winien oddziałać na lud, który bądź co bądź zawsze się na ten przykład ogląda. Środki są i być muszą. Wszak jest ich jeszcze tyle na rzeczy istotnie całkiem zbędne!..

Czy zdoła dać przykład ten elita, której karta, mam wrażenie, się zamyka?

That is the question!

**Olbracht**

---

# O PODEJŚCIE DO WALKI Z OBECNĄ KATASTROFĄ SPOŁECZNO-GOSPODARCZĄ.

## II.

Komunikat Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“, zamieszczony pod powyższym tytułem w październikowym tomie naszego wydawnictwa, otworzył dyskusję na platformie, na jakiej dotąd problemu kryzysu gospodarczego jeszcze nie traktowano i stał się startem do dalszych, praktycznych badań i wniosków w tym kierunku. Jak w komunikacie zaznaczono, stanowi on wprawdzie pierwsze — bardzo jeszcze z natury rzeczy fragmentaryczne — wystąpienie nasze w tej dziedzinie, ale nie jest bynajmniej zapoczątkowaniem sprawy, lecz raczej reasumcją dwuletnich już wewnętrznych dyskusji w łonie naszego Koła. Stanowi więc w istocie zakończenie jednego etapu prac i rozpoczęcie drugiego — na szerszej arenie.

Słyszeliśmy już pierwsze krytyki tego komunikatu, bardzo rzeczowe i w życzliwej dla sprawy intencji ujęte. Głosy takie, a jeszcze bardziej pozytywne artykuły, czy nawet obszerniejsze rozprawy na ten temat, są niezmiernie pożądane. Dlatego zapraszamy niniejszem wszystkich Czytelników pisma, którzy na podstawie swej fachowej wiedzy i głębszego praktycznego doświadczenia i przemyślenia mogą przyczynić się do wyjaśnienia tego, tak trudnego i kapitalnego problemu, aby zechcieli zabrać głos na łamach naszego wydawnictwa. Stawiamy tylko ewentualnym głosom tym i rozprawom pewien zasadniczy warunek: aby nie były zbyt teoretyczne, lecz miały na oku dokonanie w opinji publicznej odpowiedniego faktycznego

przeobrażenia pojęć, któreby mogło przysposobić społeczeństwo polskie lepiej do praktycznej walki z kryzysem na dłuższą nawet metę.

Jako wydawca pisma, który na podstawie najpierw teoretycznego przygotowania w wyższych szkołach, a następnie w dłuższej praktyce gospodarczej, w krajowych i zagranicznych przedsiębiorstwach przed wojną światową i po wojnie — tu specjalnie na polskim gruncie — miał okazję dość dużo zebrać doświadczenia i miał czas wmyśleć się nieco w tego praktycznego ducha, który poprzez wszelakie konjunktury inspiruje ogólną wypadkową życia gospodarczego , pozwalam sobie, na podłożu wspomnianego komunikatu, zabrać pierwszy z kolei głos, aby coś niecoś do tej sprawy dorzucić.

Przedewszystkiem jedno zasadnicze wyjaśnienie. Trzeba najpierw określić dokładnie przedmiot i granice badań kryzysowych na łamach „Naszej Przyszłości", aby zapobiec ewentualnym nieporozumieniom w tym względzie i w konsekwencji chaotycznej może i nieproduktywnej dyskusji.

Jak wiadomo, „Nasza Przyszłość" nie zajmuje się polityką aktualistyczną, szczegółową, uważając, że to jest zadanie rządu, sejmu i stronnictw politycznych. Podobnie nie chcemy ingerować w szczegółowe zagadnienia gospodarcze, gdyż to znowu jest zadaniem odpowiednich fachowych instytucji i zrzeszeń zawodowych. Nie chcemy mieszać się w cudze sprawy, ani nikomu przeszkadzać w wykonywaniu jego właściwych zadań.

Stąd też akcja „Naszej Przyszłości" w dziedzinie gospodarczej — pomijając sporadyczne artykuły przypadkowych autorów, stojące jednak poza właściwym torem naszej akcji — nie może brać sobie za cel omawiania różnych fachowych szczegółów, projektów, czy bolączek poszczególnych gałęzi lub dziedzin życia gospodarczego, gdyż te sprawy daleko lepiej, z większą kompetencją i świadomo-

ścią szczegółowych celów, są już w innych, właściwych ośrodkach traktowane. Jakiż cel i jakąż wartość mogłoby mieć powtarzanie po raz setny i tysiączny tego, o czem od lat piętnastu dyskutują organizacje gospodarcze, oficjalne Izby przemysłowo-handlowe i rolnicze, działy ekonomiczne dzienników, fachowe wydawnictwa, niezliczone konferencje oficjalne i prywatne, komisje sejmowe i t. d.? Byłoby to z naszej strony i zbyt pretensjonalnem i przedewszystkiem marnowaniem czasu, inkaustu i papieru.

Dlatego też w omawianie tak zwanych popularnie „konkretnych“ zagadnień gospodarczych — cen, ceł, kredytów, waluty, zbytu, bolączek i postulatów poszczególnych gałęzi gospodarczych, importu, exportu i t. p. — „Nasza Przyszłość“ zapuszczać się nie będzie. To nie jej zadanie, to szczegóły, ważne wprawdzie, ale zbyt zmienne, zbyt zawisłe od fluktuacji konjunktur.

Czemże więc ma się zająć „Nasza Przyszłość“ w dziedzinie gospodarczej, aby swą właściwą skutecznie pełnić rolę? Odpowiedź prosta: ma się zająć tem, czem inni się nie zajmują, gdzie jest więc opuszczone, wolne pole i zarazem specjalny, na serjo jeszcze niezajęty posterunek.

Aby charakter tej specjalnej roli, tego posterunku, tego właściwego tematu naszych badań i naszej akcji określić, pozwolę sobie na przytoczenie pewnego obrazowego porównania.

Proszę wyobrazić sobie pociąg kolei żelaznej, gotujący się do wyjazdu. Personel wyszkolony, fachowy, najlepszy w danych warunkach, zabiega skwapliwie około wykończenia wszelakich, najnowszych w tym pociągu urządzeń, poprawy usterek, bada osie, resory i funkcjonowanie wszelkich przyrządów, zwłaszcza prężność pary w kotle. Lokomotywa najlepszego typu, długi szereg wagonów błyszczy nowym pokostem, metalem ram i klamek. Wszyscy — inżynierowie, mechanicy i personel prowadzący — wysilają głowy, aby jak najlepiej zaopatrzyć pociąg we wszyst-

kie szczegóły, jak najlepiej zabezpieczyć go przed nieszczęśliwym wypadkiem, jak największą nadać mu szybkość przy bezpieczeństwie i wewnętrznej wygodzie. Dla umożliwienia jazdy najmniej nawet zamożnym podróżnym ustanawia się ulgowe taryfy, ba, dopuszcza nawet w wielu wypadkach podróż na kredyt, zwrotny na jakiejś dalszej stacji.

Ale w całem tem gorliwem zabieganiu o techniczne i finansowe szczegóły owego pociągu zapomniano o jednem, a może i niecałkiem zapomniano, ale w nawale zajęć szczegółowych zlekceważono. Nie przygotowano toru, po którym pociąg ma jechać! Tu i ówdzie wprawdzie wspomniał ktoś o tem, że najlepszy nawet pociąg z miejsca nie ruszy, albo utknie za pierwszym obrotem koła w grudzie, jeżeli brak nasypu i szyn, po których ma się toczyć, ale głosy takie z miejsca zakrzyczano, wyśmiano, stłumiono, jako niby nierealne, niekonkretne, zbyt ogólnikowe, prawiące teoretycznie o jakichś kwestjach przyszłościowych, o jakichś podłożach i torach, kiedy przecież najważniejsze są „konkretne szczegóły" pociągu.

Oto wierny obraz naszego życia i nastawienia gospodarczego. Wszyscy zajmują się i gorączkują drobnymi, przygodnymi szczegółami zagadnień gospodarczych, uważając te tylko za dość „konkretne", a więc godne uwagi — a natomiast fundamenty i tory tego życia, a więc ogólne jego wytyczne, jakkolwiek decydujące o realizacji i produktywności szczegółów, są albo wcale nie zbudowane, albo w kompletnym, powojennym rozkładzie, nieuznane, zaniedbane, wprost wzgardzone i wykluczone z „konkretnych" dyskusji i wysiłków gospodarczych.

Odnosi się nieraz nawet wrażenie, jak gdyby różne sfery gospodarcze celowo unikały poruszania tych kwestji ogólnych, zasadniczych, odnosząc się do nich z jakiemś dziwnem — jak gdyby umówionem — lekceważeniem. Łatwo można to skonstatować na pierwszej lepszej konfe-

rencji — oczywiście pomijając jakieś inauguracyjne, czy podobnie formalne przemówienia. Godzinami są ludzie w stanie dyskutować tam z całym zapałem o najdrobniejszych szczególikach poszczególnych gałęzi przemysłu, handlu, czy rolnictwa. Dyskutują zawzięcie jeszcze wychodząc, na schodach. Ale niech tylko kto zechce jakąś ogólną sprawę poruszyć, problem owych torów, po których może lub musi potoczyć się życie gospodarcze, to najczęściej z zrzeszonym — jakgdyby umówionym — spotka się sprzeciwem, lekceważeniem, znudzeniem, a nieraz nawet podziemną kontrakcją.

Dopuszcza się wprawdzie, a nieraz nawet i zaprasza uczonych teoretyków-ekonomistów do wygłoszenia jakiegoś podniosłego odczytu o ogólnym charakterze informacyjnym, czy syntetycznym. Ingerencji bowiem teoretycznej nauki nie uważa się widocznie za niebezpieczną. Ale nie wypada, nie wolno poruszyć ustabilizowanych podstaw, form, haseł i celów życia gospodarczego, choćby właśnie te problemy o rewizję, reformę i naprawę najgłośniej wołały, choćby przestarzałością swą i nieaktualnością w nowoczesnych warunkach paraliżowały zgóry najlepsze szczegółowe wysiłki gospodarcze.

Ten opór, świadomy, czy podświadomy, jest faktem. Odnosi się mimowili wrażenie, jak gdyby sfery gospodarcze, a zwłaszcza sfery, kierujące życiem gospodarczem, obawiały się instynktownie, że jakakolwiek logiczna, objektywna reforma, czy choćby tylko dyskusja o podstawach, założeniach, torach i celach nowoczesnego życia gospodarczego wstrząsnąć może niekorzystnie tem życiem i ich własnem stanowiskiem, ich najżywotniejszym interesem.

Omyłka zasadnicza, bez względu na to, czy popełniana świadomie, czy podświadomie! Bo co silne, zdrowe, racjonalne i leżące w duchu czasu i realnych warunków życia gospodarczego, co istotnie stanowi żywotny jego interes, to i tak się utrzyma, choćby różne przechodziło

wstrząsy. A co już nieżywotne, to zlikwiduje się samo, tego żadne sztuczne zabiegi, żadne rozpaczliwie bronione „systemy ustabilizowane“ nie będą w stanie uchronić od upadku.

A przecież od rewizji i racjonalnej naprawy tych właśnie ogólnych problemów zawisła w gruncie rzeczy przyszłość kapitalizmu i opartej na nim organizacji życia gospodarczego. Dość mowy już o szczegółach ciągle w kółko, dorywczo i doraźnie, bez głębszego planu i programu, bez trwalszego zwłaszcza rezultatu. Pozwalamy sobie sądzić, że tego aż za dużo, przynajmniej za dużo w porównaniu z głuchą ciszą w dziedzinie problemów zasadniczych.

I dlatego „Nasza Przyszłość“ tą właśnie opuszczoną i zneglizowaną zająć się chce dziedziną. Naszym celem i zadaniem jest akcja w sprawach ogólnych i tylko na tem polu odegrać możemy naszą właściwą rolę. Front fachowych szczegółów jest aż nadto dobrze w Polsce obsadzony.

Stanowisko to, zajęte w wymienionym na wstępie komunikacie Koła Przyjaciół N. P., jest dlatego także słuszne, że o dalszej ewolucji panującego kryzysu społeczno-gospodarczego, czy ustrojowo-gospodarczego i o losach naszego gospodarstwa krajowego zadecydują w ostatecznym wyniku nie takie, czy inne chwilowe koncepcje lub szczegółowe pociągnięcia ratunkowo-gospodarcze, nie poszczególne konferencje, uchwały, memorjały, ustawy, rozporządzenia, ulgi i inne doraźne paljatywy, ale przedewszystkiem odpowiednie, racjonalne w danych warunkach psychiczne nastawienie szerokich sfer gospodarczych. Jeżeli opinja publiczna wogóle jest potężnym czynnikiem, z którym każdy w sprawach publicznych liczyć się musi i wpływ jej działa w znacznym stopniu na wszelkie czynniki miarodajne w kraju, to uzgodniona mniej więcej opinja sfer gospodarczych, działająca mocno, konsekwentnie i systematycznie, musi również z biegiem czasu swoje zrobić. Chodzi tylko

o to, aby opinja ta istniała, aby była skoordynowaną, świadomą celu — i to celu także na dalszą metę — i przedewszystkiem, aby była dostosowaną do współczesnych możliwości i warunków

A tak właśnie nie jest. Psychika ogółu sfer gospodarczych, jak to codzień stwierdzić można z praktycznego doświadczenia, obraca się przeważnie wciąż jeszcze w kręgu stanowczo już przestarzałych, nieaktualnych i dlatego wyjałowionych norm, tendencji, doktryn i sposobu myślenia. Wysila się ciągle i ciągle na leczenie przewlekłej, organicznej choroby tymi samymi środkami i systemami, które właśnie tę chorobę wywołały. Chroniczny kryzys — a raczej progresywny upadek gospodarczy — powstał wskutek hipertrofji różnych elementów życia gospodarczego, jasnem więc jest, że ustawicznem podniecaniem tejże hipertrofji w imię zasad, dziś już bezwzględnie nieaktualnych, nietylko nie da się zahamować, ale musi się jeszcze pogłębiać. Jak alkoholika nie uleczy się chyba coraz większemi dawkami alkoholu, tak i schorzałego na różne nadmiary gospodarstwa niepodobna uzdrowić dalszem stosowaniem tych nadmiarów.

Staje się to z roku na rok coraz bardziej widocznem. Bezproduktywność tych usiłowań widzi każdy. Zagraża ona coraz poważniej samym podstawom systemu kapitalistycznego, a z nim razem prawu własności prywatnej, naszemu ustrojowi społecznemu i wszystkiemu, co się z tem wiąże. Zagraża rodzinie, religji, etyce. Zagraża swobodzie i twórczości indywidualnej. Ale mimo to różne prastare, zardzewiałe przekonania tak mocno są wkorzenione, tak uparte, że nic ich dotychczas nie było w stanie wyrwać lub zmodyfikować. A dopóki w tym względzie nastawienie się nie zmieni, dopóki nie zaistnieje zrozumienie stanu rzeczy i zdecydowana wola, dopóty niepodobna będzie marzyć o poprawie na serjo stosunków.

Gdzie tkwi najgłębsza przyczyna kryzysu?

W ogólnem zjawisku szybkiego, zbyt szybkiego, wzmagania się produkcji i aparatu wymiany na całym świecie. Świat nie jest w stanie spożyć tego wszystkiego, co się produkuje, nie jest w stanie oprocentować wkładanego w produkcję kapitału, nie jest w stanie znieść całego ciężaru dzisiejszego aparatu wymiany, słowem — nie jest w stanie dotrzymać kroku postępowi i aspiracjom życia gospodarczego. A tem mniej zdolny jest do tego, że nowoczesne państwo, wraz z jego potęgującym się etatyzmem, obciąża swych obywateli, a z nimi i ich pracę gospodarczą, coraz większym balastem fiskalnym.

Z jednej więc strony wszystkie kraje, nawet już i najbardziej egzotyczne, dążą do zwiększania swego aparatu gospodarczego i swej produkcji w imię hasła samowystarczalności, przez co zbyt wewnętrzny i zewnętrzny w możliwościach swych coraz bardziej się ogranicza, a więc i kapitał przestaje się rentować—a z drugiej strony etatyzm i fiskalizm państwowy podcinają jeszcze bardziej rentowność produkcji i kapitału. Wskutek tego wszystkiego gospodarstwo sztywnieje, traci elastyczność, możość racjonalnej kalkulacji i zdolność adaptacyjną do istotnych wymagań prawa podaży i popytu. A gospodarka, która odbywa się na jakiejś platformie poza tem prawem fundamentalnem, traci oczywiście rację bytu i staje się nieuleczalną.

Z tego wynika, że wszelka racjonalna i skuteczna reforma zaatakować musi równocześnie oba źródła choroby: hipertrofję aparatu gospodarczego i produkcji, oraz hipertrofję etatyzmu i fiskalizmu. Bez tego niepodobna sobie nawet wyobrazić możności przezwyciężenia obecnej katastrofy. Staje się to jeszcze jaśniejszem, gdy odwrócimy pytanie: czy można wybrnąć z kryzysu przy dalszym wzroście produkcji i aparatu gospodarczego na całym świecie i przy równoczesnym dalszym wzroście ciężarów publicznych?

Ale reforma w obu tych kierunkach wymaga w pierw-

szym rzędzie właśnie odpowiedniej zmiany psychiki, zmiany nastawienia — zarówno ze strony państwa, jak i sfer gospodarczych. Nie fachowe szczegóły stanowią tu więc szkopuł najważniejszy — bo te ostatecznie mogą się unormować na różny sposób, stopniowo, zależnie od wymagań życia — ale w pierwszym rzędzie odpowiednia zmiana ogólnych podstaw i tendencji gospodarczych ze strony państwa i jednostki. Stąd „Nasza Przyszłość“ obrała sobie za specjalne zadanie możliwie intensywną akcję w tej dziedzinie. I każdy przyznać musi, że choć to temat ogólny, nie mniej jednak całkiem „konkretny“ i aktualny, a nawet konkretniejszy i bardziej piekący narazie od wszelkich szczegółów rolniczych, przemysłowych, handlowych, walutowych i bankowych, bo te wszystkie zależą ściśle od rozwiązania powyższego ogólnego problemu.

Otóż, wychodząc z tego założenia, niewątpliwą jest rzeczą, że na płaszczyźnie gospodarczej toczy się obecnie i niezadługo rozegrać się musi z jakimś pozytywnym wynikiem walka między państwem a jednostką na całym świecie. Państwo, przesadzając w swej roli i w pojęciach swych niezbędnych potrzeb, jako potrzeb zbiorowości, nadto także i ze względów ustrojowo-politycznych dążąc do coraz większej supremacji nad jednostką, a wreszcie nawet chcąc dopomóc jednostce w jej ciężkiem położeniu ekonomicznem, występuje coraz wszechstronniej, coraz apodyktyczniej w roli nietylko regulatora i dyktatora życia gospodarczego, ale równocześnie i przedsiębiorcy w coraz liczniejszych gałęziach produkcji i wymiany. Przedewszystkiem zaś, w ogólnym wyniku zmagań walutowo-finansowych, jakie obecnie stanowią niejako oś obrotu kryzysu ekonomicznego na świecie, staje się państwo głównym bankierem życia gospodarczego i coraz wyłączniejszym szafarzem środków pieniężnych i kredytów. Aby móc kontynuować tę dyktatorską rolę, której coraz więcej oporu przeciwstawiają prawa ekonomiczne i prawa przyrody, obar-

cza państwo jednostkę coraz większymi ciężarami świadczeń, brnąc przez to w coraz trudniejszy impas i unicestwiając także swój cel dopomożenia jednostce i życiu gospodarczemu wszelkim sztucznym, przymusowym sposobem. Cała więc ta tendencja państwa, wspierana przez różne radykalne doktryny polityczne i ekonomiczne, stanowi taką sprzeczność celów i środków, że zamiast łagodzenia, podtrzymuje i pogłębia katastrofę gospodarczą i ściąga mimowoli, w pewnej organicznej konsekwencji, poważne niebezpieczeństwa także na ewolucję ustroju społecznego w postaci coraz większej niewoli jednostki pod względem materjalnym i moralnym. Bo wszelkie dzisiejsze sztuczne środki i systemy, stosowane w różnym stopniu przez różne państwa celem wybrnięcia z kryzysu, a przeciwnie najżywotniejszym interesom jednostki i w grucie rzeczy także żywotnym interesom państwa w dłuższej perspektywie, stosowane być mogą tylko drogą dyktatorskiego przymusu.

Z drugiej strony jednostka — człowiek gospodarczy— usiłuje bronić się przeciw tej tendencji państwa, ale w rezultacie broni się bardzo słabo, nieudolnie, gdyż skrępowana jest przedewszystkiem psychicznie, mianowicie bezkrytyczną, a wielce upartą doktryną ekonomiczną i wyrosłemi z niej hasłami, które w czasach liberalizmu gospodarczego wbite zostały w mózgi i stanowią dzisiaj zakostniały „system ustabilizowany“ w pojęciach sfer gospodarczych, którego najmniejsze naruszenie, najlżejszą nawet krytykę uważają sfery gospodarcze jako atak, przeciw nim wymierzony. A ponieważ bez pewnej rewizji tych doktryn, haseł i pojęć żadna korzystna, skuteczna reforma życia gospodarczego nie jest możliwą i nie jest zwłaszcza możliwa skuteczna walka z przerostem etatyzmu we wszelkich jego przejawach, przeto i w tendencji prywatnych jednostek i sfer gospodarczych wytwarza się sprzeczność między celami i środkami. Chcąc się bowiem uwolnić z nadmiernego ciężaru supremacji państwa, ale bez rewizji swego „usta-

bilizowanego systemu" doktryn, haseł i pojęć, wchodzą mimowoli w coraz większą od państwa zależność i przyczyniają się do dalszego niszczenia już i tak mocno nadkruszonych podstaw swej własnej gospodarki prywatnej.

A tak mocno zakorzeniony jest ten „system ustabilizowany" pojęć i celów gospodarczych w mentalności każdej jednostki, pracującej na roli, w przemyśle, handlu, bankowości i t. p., że wszystkie te sfery zgadzają się podświadomie raczej na dalsze znoszenie rujnującego i proletaryzującego je kryzysu, na stały upadek dobrobytu i skali życiowej, na coraz dotkliwszy przymus państwowy, na coraz większe ciężary publiczne i haracz, płacony radykalnym ustawom, na piętrzącą się falę indywidualnych bankructw, a nawet na przewroty społeczne i ekspansję doktryn wywrotowych — byle tylko nie przyznać otwarcie mylności założeń tego systemu i nie podjąć dobrowolnie dyskusji nad nim i rewizji. Wolą nawet otwarcie poddawać się państwu i głosić koncepcję „gospodarki planowej", kując przez to miecz na własną szyję, byle tylko nie naruszyć uświęconego tabu zakostniałych metod i tendencji kapitalizmu ubiegłego stulecia, byle nie osłabić bóstwa „wszechwładnego interesu".

I dlatego to bóstwo staje się coraz mniej wszechwładnem i zaczyna już chodzić w łachmanach, nie przestając jednak być szkodliwem. Dlatego również walka z etatyzmem i systemem niewoli społecznej staje się coraz bardziej beznadziejną. A ponieważ etatyzm i niewola społeczna prowadzą także do ruiny, więc bezspornie stwierdzić można, że w tym splocie sprzeczności państwowych i prywatnych, na platformie dotychczas panującego i rosnącego etatyzmu z jednej, a uświęconych pojęć prywatnej gospodarki z drugiej strony, wyjście z kryzysu jest niemożliwe i upadek musi się pogłębiać. Chcąc bowiem jakkolwiek skutecznie stawić czoło temu wszystkiemu, co dzisiaj gospodarstwo prywatne i dobrobyt jednostki tamuje

i rujnuje, muszą sfery gospodarcze wykazać się odpowiednią siłą żywotną i stanąć do walki o swój byt, o ład i porządek prywatno-kapitalistyczny, do walki o prawo własności, o swobodę twórczości indywidualej, o rentowność warsztatów pracy i wolność uczciwego zarobku — oczyszczone z pleśni starodawnych pojęć, które właśnie w pierwszym rzędzie upadek dzisiejszy sprowadziły.

Czemże jest w istocie ów hamujący wszelki start do walki z kryzysem „system ustabilizowany"?

Kilkakrotnie już poświęcała „Nasza Przyszłość" tej sprawie obszerne artykuły. Postarajmy się zilustrować rzecz raz jeszcze w nieco innem oświetleniu.

Dążność do bogacenia się celem podnoszenia swego dobrobytu jest wrodzoną naturze ludzkiej i — w zasadzie biorąc — zgodna z powszechnem prawem ewolucji. Stanowi ona zarazem jeden z najważniejszych bodźców ludzkiej twórczości i pracy. Odebrać ludziom to prawo, byłoby równoznaczne ze skazaniem ich na ustawiczne cofanie się wstecz pod każdym względem, a więc przeciwne wprost prawom przyrody. Stąd wszelkie doktryny etatyzmu i niewoli społecznej muszą rujnować i zawsze tylko niszcząco działały.

Ale w dawnych, bardzo dawnych czasach ta tendencja do bogacenia się nie była na świecie jedyną i wszechwładną, nie była ujęta w żaden powszechny system i aparat. Istniały obok niej także inne, równie potężne motory działalności ludzkiej. Wszak np. liczne dzieła kultury, sztuki i przemysłu z epok dawniejszych nie noszą na sobie znamienia wyłącznie tylko ekonomicznego businessu. Pracowano z zamiłowaniem także i dla innych celów, dla danego dzieła, czy przedmiotu samego w sobie. Nie była wszechwładną tendencja, aby z każdej pracy, z każdego wyprodukowanego objektu wybić jak najtańszą drogą jak największy zysk pieniężny. Bogacili się różni, władcy, sfery społeczne, czy jednostki, czy państwa całe, ale to boga-

cenie się, to życie gospodarcze nie było jedynym celem samym w sobie, realizowanym bezwzględnie, z lekceważeniem swej użyteczności powszechnej. Życie gospodarcze służyło istotnym potrzebom społeczeństwa, a jeżeli przekraczało te potrzeby, tę swą istotną rację bytu, to modyfikowało się automatycznie i nie było żadnej powszechnej interwencji, aby nadmierny rozrost życia gospodarczego za wszelką cenę, jako ciężar dla społeczeństwa, stale podtrzymywać. Rozumiano, że przedsiębiorca bogaci się, o ile jest zręczny i o ile ma pole do tego. Ale jeżeli gdzieś przedsiębiorstwa okazywały się już nieaktualne, nie odpowiadały potrzebom społeczeństwa, to nie stosowano na całe kraje sztucznych, przymusowych systemów, aby wbrew zdrowej logice i z rosnącym ciężarem dla społeczeństwa dane przedsiębiorstwa podtrzymać.

Bywały oczywiście liczne wyjątki od tej reguły, dyktowane zachłannością ludzką, ale też wypadki takie nie wychodziły nigdy na korzyść społeczeństwa i danych sfer przedsiębiorców, a historja notowała je wyraźnie jako nadużycia i przyczyny upadku danego państwa, czy danej gałęzi gospodarczej.

Ogółem biorąc — zasada bogacenia się w nieskończoność nie była najwyższem prawem gospodarczem, nie była jedyną, główną tendencją jednostki i społeczeństwa, nie była nietykalnem tabu. Nie stanowiła więc żadnego powszechnego „ustabilizowanego systemu". Brano rzecz trzeźwo, naturalnie. Gdzie można było rozwijać rolnictwo, przemysł i handel, tam je rozwijano, ale nie forsowano ich rozwoju tam, gdzie nie miały naturalnego zbytu i warunków. Stąd życie gospodarcze było korzyścią dla ludzi, a nie przymusowym ciężarem. Nikt nie twierdził, że ono *musi* się rozwijać, rozumowano tylko logicznie, że *powinno*.

Sytuacja ta i nastawienie umysłów doznały radykalnej zmiany dopiero w epoce narodzin nowoczesnego, libe-

ralno-demokratycznego świata, gdy padło z oficjalnej trybuny naukowej i politycznej demagogiczne hasło: Bogaćcie się—enrichissez-vous! Było to, praktycznie biorąc, najpotężniejsze może hasło czasów nowożytnych, które w konsekwencjach swych coraz donioślejsze płodzić zaczęło skutki materjalne i moralne — niestety coraz ujemniejsze, coraz bardziej katastrofalne.

Nie było ono jedynym bodźcem w swym kierunku, gdyż przed niem już szereg przyczyn złożył się na to, aby pchnąć myśl ludzką w kierunku suwerennego materjalizmu, ale było w każdym razie ostateczną, najpraktyczniejszą syntezą rodzącego się gospodarczego rozmachu i najjaskrawszym symbolem nowej epoki, która, usuwając na bok wszelkie dawniejsze ideowe dążenia, usuwając przedewszystkiem Boga, jako pojęcie krępujące, niewygodne, pchnęła ludzkość jednostronnie w kierunku kultu złotego cielca — kultu wszechwładzy gospodarczego interesu.

Rozpoczął się — po dziś dzień trwający — okres tak zwanej „trzeźwości pojęć", proces coraz skrajniejszego materjalizmu. Wszystko, co nie wyraża się w tranzakcjach pieniężnych, zaczęto uważać na szerokiej arenie publicznej za donkiszoterję, dla formy jeszcze poniekąd tolerowaną, ale na serjo przez polityków i ludzi gospodarczych nie traktowaną. Wykształcił się nieznany przedtem typ businessmana — człowieka interesu, dla którego jedyną wiarą, jedynem wyznaniem, treścią życia i celem samym w sobie stał się pieniądz. Dla zdobycia tego pieniądza stworzono specjalną etykę „kupiecką", o której nawet poważne, teoretyczne rozprawy z zakresu ekonomji politycznej głoszą, że nie we wszystkiem jest i może być zgodna z etyką nadrzędną, zbudowaną ongiś nakazem i uczuciem religijnem.

Stworzone zostały również w tym właśnie dopiero okresie — druga połowa XVIII-go i pierwsza połowa XIX-go wieku — fundamenty nowej, specjalnej wiedzy,

ekonomji politycznej, oddanej służbie hasła bogacenia się w nieskończoność. A choć różne w tej dziedzinie badań zarysowały się kierunki, djametralnie nieraz sprzeczne co do zalecanego sposobu bogacenia się, to jednak wszystkie zgadzają się w ostatecznej konkluzji: konieczności bogacenia się w nieskończoność, a więc i konieczności ustawicznego rozwoju gospodarczego za wszelką cenę.

Tak więc rozbudzona zachłanność ludzka w praktyce, depcząca stopniowo wszelkie zasady moralności i etyki, doznała potwierdzenia i uświęcenia przez powagę naukowej syntezy. A praktyka ta i teorja, działając na gruncie już i tak oddawna materjalistycznie nastrojonej „burżuazji", która w nowej epoce, z upadkiem ustroju stanowego, przyszła do władzy, natrafiły na grunt niezmiernie żyzny i —zawładnęły światem.

Można się o tem bardzo łatwo i dziś jeszcze z codziennej praktyki przekonać. Wystarczy przyjrzeć się, jak ludzie wszelkich warstw i zawodów traktują różne sprawy. Patrjotyzm, polityka, doniosłe zadania państwowe lub kulturalne, religja — owszem, owszem, piękne słyszy się i czyta o tem wywody, nieraz nawet gorące apele po dziennikach i na afiszach, wzniosłe przemówienia na zebraniach; chwilowe nawet widzi się zapały, tworzą się różne ofiarne organizacje. Ale w tem wszystkiem, pomijając wyjątkowych ludzi, brzmi jakaś nuta, jak gdyby tylko tolerancji, jak gdyby społeczeństwo, popierając te sprawy, nie traktowało ich jednak z całem przejęciem się, zbyt na serio. Odnosi się wrażenie, jak gdyby wszystkie te wzniosłe sprawy uważane były za „także" dobre i poniekąd może nawet i konieczne, ale raczej drugorzędne, raczej w formie okolicznościowych porywów zapału. Ale niech poruszoną zostanie jakaś sprawa gospodarcza! Proszę spojrzeć, jak żywe odrazu budzi się zainteresowanie, jak błyszczą oczy, jak ludzie wszelkich warstw i stanów gotują się jak gdyby do skoku, albo opancerzają się w widocznym zamiarze obro-

ny do upadłego swych, ciasno nieraz i ze skrajnym egoizmem pojmowanych interesów. Czuć i widać, że to dla wszystkich sprawa pierwszorzędna.

I jakaż z tego rośnie idea, jakież nastawienie? Nawskroś amoralne, często nawet wprost antymoralne. Wystarczy jeden przykład, znany i jaskrawy, za setki tysięcy innych: wszak w materjalnym interesie wielkiego przemysłu stalowego leżą zbrojenia, leży prowadzenie wojen ze względów zbytu i handlowej konkurencji. A więc... Niechże dyplomaci gwarzą daremnie o sprawie rozbrojenia, niech wybuchają wojny i miljony trupów zalegają pola. Wszechwładny interes ponad wszystko — business over all!

Podobnie dzieje się wszędzie, oczywiście w różnej skali. Etyka obowiązuje jeszcze w życiu towarzyskiem, prywatnem, gdzie ewentualna strata drobnej kwoty lub piękny gest filantropijny (także zresztą potrzebny nieraz dla interesu!) nie robią większej różnicy finansowej, nie przeszkadzają poważniejszym interesom. Ale na szerszą skalę zmniejsza się autorytet etyki, a w światowej skale zupełnie już nie obowiązuje. Największe oszustwo, byle tylko jako tako uzgodnione z suchą literą kodeksu karnego, największy mord masowy, krzywda i nędza ludzka — to wszystko nic nie znaczy w obliczu „trzeźwych" wymagań wszechwładnego interesu.

Przecież tak jest w istocie i nikt uczciwie nie byłby w stanie temu zaprzeczyć! Chodzi tylko o sumę i skalę.

Ale „system ustabilizowany" tego wszechwładnego interesu sięga dalej, nie szczędząc samego życia gospodarczego, gdy chodzi o utrzymanie swej dyktatury. Pchając bowiem państwa i ludzi w kierunku bogacenia się za wszelką cenę, pod sztandarem dyktatorskiej doktryny konieczności rozwoju produkcji i życia gospodarczego wogóle, a więc w kierunku aksjomatu, który nie zawsze i nie wszędzie daje się realizować, gdyż często nie odpowiada istotnym potrzebom, warunkom i możliwościom życia, godzi

się doktryna ta raczej na bankructwa całych gałęzi gospodarczych, na poświęcenie tysięcznych przedsiębiorstw i warsztatów pracy, na klęskę socjalno-ekonomiczną całych państw i narodów, na ekspansję najskrajniejszego nawet etatyzmu i niewoli społecznej, na gorsze od wszelkich rewolucyjnych zamachów niszczenie kapitału, byle tylko nie przyznać się do własnego fałszywego założenia, nie dotknąć uświęconego tabu swej szkodliwej dla świata racji bytu. Jak Moloch pożerał krwawe ofiary, składane mu przez zahipnotyzowanych jego rzekomą potęgą i jego narzuconem prawem wyznawców, tak i „system ustabilizowany“ wszechwładnego interesu przy pomocy doktryny o niezbędności bezkresnego rozwoju życia gospodarczego za wszelką cenę pochłania bez skrupułu realne interesy tysięcznych przedsiębiorstw, rolnictwa, przemysłu, handlu, banków i wszelakich innych instytucji i tak dalece zahipnotyzował tęższe nawet i uczciwe umysły, że nie dozwalają nawet dyskusji podnieść na ten temat, nie widząc, czy nie chcąc widzieć, że przepaść otwiera się im pod nogami.

Nic przeto dziwnego, że w takich warunkach próżne muszą być wszelkie zabiegi nad wybrnięciem z kryzysu. I zarazem nic dziwnego, że zrozpaczona, do nędzy coraz bardziej prowadzona ludzkość buntować się zaczyna — rzekomo przeciw pojęciu „burżuja“, w rzeczywistości jednak przeciwko owej bezwzględnej dyktaturze wszechwładnego interesu. Rodzi się nienawiść w coraz szerszych masach, sięgając nawet wysoko w górę, w sfery wykształcone, o wyższej kulturze i objektywniejszym sposobie myślenia — nienawiść pozornie do zamożnych sfer gospodarczych, ale w głębszej istocie rzeczy, niejako podświadomie, do owego właśnie systemu gospodarczego ostatnich dwustu lat, do owej ideologji „konieczności“ bogacenia się i rozwoju życia gospodarczego za wszelką cenę, nawet za cenę ruiny mas i własnej ruiny tegoż życia gospodarczego.

Powstają doktryny antygospodarcze, hasła i stron-

nictwa radykalizmu i społecznego wywrotu. Jakkolwiek błędne i szkodliwe w swem doktrynerstwie i w metodach, mają one wszystkie jednak to jedno w każdym razie usprawiedliwienie, tę jedną, rzec można, ideę moralną, że przeciwstawiają się amoralnej koncepcji wszechwładnego interesu, że walczą z nadmierną zachłannością materialną natury ludzkiej. Z tego więc punktu widzenia — ale oczywiście tylko z tego — nie waham się, jako konserwatysta, podkreślić pewnego, niewątpliwie dodatniego pierwiastka doktryn radykalnych i socjalistycznych, jako protestu i hamulca, skierowanego przeciw „ustabilizowanemu systemowi" bezkresnej zachłanności panującego gospodarczego nastawienia.

A nastawienie to jest tak silne, tak wbite w mózgi od dziadów i pradziadów, że nawet bardzo inteligentne jednostki o wysokiej kulturze, usiłujące możliwie krytycznie i objektywnie oceniać wady panującego gospodarczego ustroju — a raczej nastroju — nie są w stanie wyrwać się z więzów narkozy „ustabilizowanego systemu". Ilekroć mowa o tym przedmiocie, odrazu, impulsywnym odruchem, usiłują zmienić temat rozmowy, wskazując skwapliwie na inne, raczej doraźne przyczyny i szczegóły kryzysu gospodarczego, głosząc, że niema potrzeby mówić o jakiejkolwiek rewizji pojęć, gdyż przełom gospodarczy sam się dokonuje, że życie dyktuje samo swe prawa, że przecież coraz mniej wielkich zarobków i bogatych ludzi na świecie, a zwłaszcza u nas w kraju, że nadmiernie rozdęte warsztaty i tak bankrutują i t. d., i t. d. Widać wyraźnie, jak ludzie z życia gospodarczego, przypierani do muru, usiłują wykręcać się wszelkim sposobem od wyznania prawdy: że zły, błędny, amoralny jest sam system ideologiczny współczesnej pracy i tendencji gospodarczej. I o twardy upór tego systemu wszelka myśl naprawy stosunków się rozbija.

Zbyt wielu ludzi zainteresowanych jest w podtrzyma-

niu à outrance panującego gospodarczego reżimu, a przynajmniej zdaje im się, że są w tem zainteresowani, aby zmiana poglądów łatwo mogła nastąpić. Narazie człowiek gospodarczy jest w tym względzie jeszcze intraitable. Jeszcze widocznie niedola niedość go przycisnęła, a przynajmniej nie przycisnęła wszystkich i dlatego ci właśnie, którym się względnie jeszcze dobrze powodzi, najbardziej przeciwni są poruszaniu delikatnej kwestji jakiejkolwiek rewizji systemu i właściwych celów pracy gospodarczej.

A przecież nie chodzi wcale o to, że klęska życia gospodarczego sama życie to reguluje, wśród powszechnego niszczenia olbrzymich walorów materjalnych i cywilizacyjnych. Nie chodzi o to, że doraźnie setki i tysiące przedsiębiorstw przymusowo kurczą się lub bankrutują, wśród skandalicznych nieraz okoliczności. Nie chodzi też o to, na co skwapliwie wskazują przeciwnicy rewizji pojęć gospodarczych, że ilość jednostek o wielkich dochodach przymusowo z każdym rokiem maleje. Te wszystkie żywiołowe wypadki zmieniają wprawdzie chwilowo objętość portfelu poszczególnych jednostek, wyrzucając na bruk miljony nędzarzy, ale nie zmieniają w niczem zasadniczego nastawienia psychiki gospodarczej. Wszyscy bowiem spekulują na to, że kryzys jest zjawiskiem przejściowem, że cierpieć będzie zapewne jedno tylko pokolenie, a następne, w „lepszych warunkach“, rzuci się znowu naprzód w imię zachłannego ideału bogacenia się w nieskończoność za wszelką cenę.

I ta amoralna i bezkrytyczna nadzieja podtrzymuje umysły gospodarcze w nastawieniu na niezniszczalną wszechwładzę gospodarczego interesu. Ona też powoduje, że ludzie życia gospodarczego tak stosunkowo obojętni są na inne sprawy, a zwłaszcza sprawy publiczne. Tak niezmiernie jest trudno zainteresować na serjo — co się zowie na serjo — człowieka gospodarczego do jakichkolwiek publicznych spraw i celów, choćby najdonioślejszych dla

państwa i społeczeństwa, ale nie dotyczących bezpośrednio interesów ekonomicznych. Wobec tego marnieją ogromne walory, któreby mógł zyskać kraj, mogłyby zyskać różne sprawy publiczne od współdziałania w nich na serjo ludzi gospodarczych. Przez to zaś rozszerzyłby się ogromnie horyzont tych ludzi, poznaliby lepiej związki, jakie między losami życia gospodarczego a innemi dziedzinami zachodzą i wówczas także odsłoniłby im się właściwy punkt widzenia na głębszą istotę panującego beznadziejnie narazie kryzysu. Śmię twierdzić, że żaden człowiek gospodarczy, zamknięty uparcie w swym kantorze, czy folwarku, nie będzie nigdy w stanie zrozumieć głębszej przyczyny swego ciężkiego położenia. Miotać się będzie ustawicznie w wyborze drobnych, doraźnych środków zaradczych, wypatrywać będzie ewentualnych lepszych konjunktur, łudząc siebie i drugich. Poddawać się będzie z karygodną biernością fatalizmowi losu i coraz szybszej progresji etatyzmu — ale nie będzie w stanie ani poprawić na serjo swej doli, ani żadnego gospodarczego rozwiązać problemu.

Nic nie pomoże czepianie się klamki rządowej, wysyłanie posłów gospodarczych do parlamentu, zapisywanie się do różnych stronnictw politycznych, udział we wszelakich konferencjach i organizacjach zawodowych, które wszystkie przecież na istniejącym „systemie ustabilizowanym“ są oparte i system ten przez zarządy swe usiłują ponad wszystko salwować, wyraźną niechęć okazując każdemu, kto wzywa do zastanowienia się nad sprawami ogólnemi, nad pewną racjonalną rewizją zasad, podstaw, metod i celów gospodarczych. Lekceważenie, niechęć i wrogie nastawienie spotykają dotąd każdego, kto się z tem odzywa. Woli się kontakt nawet z systemem bolszewickim, od którego wyczekuje się różnych doraźnych, pieniężnych korzyści dla łatania olbrzymiejących luk w nieuleczalnie chorym systemie gospodarczym, od kontaktu

z wszelkim prądem otrzeźwienia i psychologicznej naprawy fundamentów gospodarczych.

O nie bowiem w pierwszym rzędzie dzisiaj chodzi. Kwestja tych fundamentów jest i będzie decydującą o przyszłości. Można wprawdzie i trzeba zaradzać doraźnym, przygodnym bolączkom. Trzeba radzić o walucie, kredycie, cłach, cenach, imporcie, eksporcie, bezrobociu, kartelach i różnych innych, codziennych sprawach życia gospodarczego. Ale te przenigdy sprawy nie załatwią. Im bardziej się w nie brnie, tem większy spotyka się labirynt i tem większą — przeciętną wypadkową deficytu. Dlatego obok tych spraw codziennych głębszą uwagę poświęcić trzeba równocześnie reformie psychologicznego nastawienia, rewizji racji bytu i celów pracy gospodarczej.

Musi więc przedewszystkiem powstać w kraju szkoła ekonomiczna, którąby—wśród oczywiście krótkowzrocznego oporu ogółu adeptów „ustabilizowanego systemu“—zaczęła energicznie, z odpowiednią mocą argumentów, propagować fundamentalną prawdę, że rozwój życia gospodarczego i idących z nim razem udoskonaleń technicznych i organizacyjnych jest wprawdzie rzeczą bardzo pożądaną, ale bynajmniej nie konieczną za wszelką cenę; że interes gospodarczy i praca gospodarcza nie mogą żadną miarą stanowić jakiegoś suwerennego celu samego w sobie, realizowanego bezwzględnie prawem i lewem na ludzkiej doli i niedoli; że rozwój gospodarczy ma oczywiście o tyle tylko rację bytu, o ile odpowiada faktycznym potrzebom i zdolności nabywczej społeczeństwa; że wreszcie akomodacja rozwoju gospodarczego do istotnych warunków prawa podaży i popytu jest także i z tego względu niezbędną i oczywistą, że wskutek powszechnego wzrostu kultury gospodarczej wszystkie kraje dążą do możliwie równomiernego rozwoju swej produkcji, do samowystarczalności w czasie pokoju i wojny, że więc wszędzie podnosi się uprawa roli i technika przemysłowa i wobec tego wszystkiego mo-

żliwości eksportowe — ogółem biorąc — muszą i będą kurczyć się coraz bardziej. Forsowanie więc życia gospodarczego w nieskończoność sztucznymi środkami i olbrzymiejącym coraz bardziej ciężarem kredytowym, anulującym z roku na rok możliwość amortyzacji i rentowności, jest najoczywistym paradoksem i absurdem, który katastrofę gospodarczą, a za nią i społeczno-polityczną tylko pogłębiać musi.

Dopóki prawdy te — które przecież rozumie każdy drobny przedsiębiorca, ale nie chce ich uznać wielkie życie gospodarcze — nie przebiją się w mentalności człowieka gospodarczego i rządów państw, dopóki świeży powiew zdrowej logiki ekonomicznej nie stworzy nowych, racjonalnych podstaw do dyskusji i pracy, tak długo mowy być nie może ani o przezwyciężeniu kryzysu, ani o ulżeniu na serjo ciężarów publicznych, ani o zwalczeniu doktryn wywrotowych, ani o lepszej doli przyszłych pokoleń. Upierając się przy utrzymaniu za wszelką cenę „systemu ustabilizowanego", pędzą sfery gospodarcze same siebie i całe społeczeństwo w niewolę etatyzmu, albo czegoś nawet jeszcze gorszego, niszcząc po drodze owoce pracy ludzkiej, warsztaty tej pracy, energję, zdolność twórczą i wszelkie dodatnie walory ludzkiej natury.

Wszechwładny interes pożera sam siebie. Przerósł już dawno swe możliwości i dlatego nie ma przed sobą faktycznie innych rozwiązań, jak chyba tylko wojny, rewolucje i doktryny wywrotu, a narazie — coraz mizerniejszą wegetację, z której żaden nadrzędny aparat zawodowo-organizacyjny, nadmiernie napęczniały, że wszystkimi swymi zarządami, biurami i statutami, nie będzie go w stanie podźwignąć. Przeciwnie — cały ten nadmierny ciężar, z jednej strony etatyzm, z drugiej hipertrofji organizacji zawodowych, staje się coraz większym hamulcem dla racjonalnego rozwoju gospodarstwa, dobrobytu i twórczej inicjatywy. A ten stan rzeczy nie zmieni się, dopóki pa-

nuje przekonanie o niezbędnej konieczności forsowania życia gospodarczego. Bo przecież wszelkie obciążenia tego życia, wszelkie jego krępujące reglamentacje i etatyzacja dzieją się właśnie w imię tej nieszczęsnej idei. Są to przecież wszystko „dobrodziejstwa przymusowe", a wiadomo, że takie dobrodziejstwa nigdy dla człowieka nie są korzystne. Praca twórcza wymaga swobody, więdnie w oranżerji. A katastrofa położenia leży w tem właśnie, że rządy państw i sfery gospodarcze usiłują nadmiernie wybujałe, a więc i chorobliwe plony pracy ekonomicznej, popędzane nadmiarem sztucznych nawozów i niewytrzymałe na naturalne wpływy świeżego powietrza, przenieść do cieplarni i tam za wszelką cenę sztucznie hodować — choćby ta hodowla absolutnie się nie opłacała.

Nad tem nie wolno miarodajnym sferom gospodarczym przejść z lekceważeniem do porządku dziennego. Nie wolno im zamykać oczu własnych i drugim na rzeczywistość, ale winny dobrze się nad faktyczną sytuacją zastanowić.

Życie gospodarcze opiera się ostatecznie, jak roślina, na prawach przyrody. Roślina, chroniona zbyt sztucznie na kunsztownie preparowanym gruncie, jałowieje w szeregu pokoleń. Roślina naturalnego potrzebuje gruntu i naturalnych warunków atmosfery. Znosi ograniczoną tylko pomoc w kulturze. Nic plonom nie szkodzi, przeciwnie, pomaga, jeżeli pewien procent chorobliwych roślin zginie. Całkiem podobnie ma się rzecz z pracą ludzką. Zbyt sztucznie podtrzymywana zarasta nieproduktywym chwastem, wydając hipertrofję produkcji i środków wymiany, podtrzymując nieżywotne warsztaty i eksperymenty, płodząc zadłużenie, niedobór pieniędzy, tandetę i bezrobocie, nie mówiąc już o załamaniu psychicznem i moralnem całego społeczeństwa.

**Jan Bobrzyński**

---

## PRZEMOWIENIE J. E. KS. ARCYBISKUPA E. ROPPA W SPRAWIE UKRAIŃSKIEJ.

Zamieszczamy poniżej dodatkowo przemówienie ks. Arcybiskupa Roppa, wygłoszone na obiedzie dyskusyjnym „Naszej Przyszłości“, z którego sprawozdanie podaliśmy na wstępie tego tomu. Tekst niniejszego przemówienia doręczony nam został dopiero w chwili ukończonego już prawie druku i dlatego zamieszczamy je osobno.

---

W interesujących wykładach, tylko co słyszanych, zdaje mi się, że jedna kwestja została pominięta, którą uważam za nader ważną.

Prawda, że nie mogę się szczycić dokładną znajomością stosunków w Małopolsce Wschodniej, jednak w jednym przynajmniej punkcie tej ziemi nieraz bywałem i przekonałem się o wielce nienormalnym stosunku wzajemnym dwóch odłamów duchowieństwa tamecznego.

Katolikami są równie łacinnicy, jak i wschodnicy, a między nimi leży jakby przepaść. Sięga to od dołu do góry. Winą tego jest pewna nieumiejętność odróżnienia kwestji wiary od kwestji politycznych, narodowych. Są pewne oznaki dobrej woli ze strony Episkopatu rusińskiego, który w ostatnich zjazdach biskupich brał udział, ale to tylko lekkie oznaki, nie dowodzące głębszego wzajemnego zrozumienia i zbliżenia. Natomiast u wielu przedstawicieli społeczeństwa świeckiego tak jest dalekie odżegnywanie się od obcego obrządku (nie wiary), że nawet nie uznają, jako obowiązujące katolika, bywanie w niedzielę i święta na Mszy świętej, jeżeli tego w kościele własnego obrządku uczynić nie można. Mogą być różne do tego powody, brak taktu ze strony drugiej, ale te powody obowiązku nie kasują, a nie bywanie pewnie ujemny wpływ wywiera.

W tych sprawach wielką widzę winę, albo brak zrozumienia u polskiego odłamu społeczeństwa. Jest to religja, traktowana po „endecku", t. j. w drugim rzędzie po narodowości. To oddala, odstrasza, a nikogo nie pociąga. Jeżeli mamy dojść do zgody, powinno to się zmienić i pewien jestem, że równe traktowanie duchownych obydwóch obrządków i przyjacielski, a nie pański, do nich stosunek wieleby się przyczyniły do złagodzenia wewnętrznych stosunków narodowościowych. Tu społeczeństwo polskie wiele może zrobić, dać piękny przykład i pociągnąć za sobą także warstwy duchowne. Rzecz zaś mojem zdaniem jest pierwszej ważności, bo bez zgody i zbliżenia na tle religijnem wszelkie inne próby nie pomogą, o ile chodzi o lud wierzący i wierzące klasy średnie, naturalnie nie o politykierów, przeważnie ludzi, którzy nieraz wszelkiej wiary się pozbyli.

**X. Arcybiskup Edward Ropp**

# CO BĘDZIE?

Po każdym Nowym Roku zwykliśmy wiele się spodziewać. Tym razem może mniej, niż dawniej. Ale bądź co bądź spodziewamy się nowej konstytucji, rozwiązania jakichś politycznych i gospodarczych problemów światowych, obawiamy się jakichś niespodzianek wojennych, czy innych. A przedewszystkiem nastawieni jesteśmy na dalszy rozwój różnych przełomów, które ludzkość niby właśnie przechodzi, a z których stopniowo rodzi się rzekomo jakiś nowy porządek ustrojowy i społeczno-gospodarczy. Wielu drży z obawy przed rezultatami przeróżnych sztucznych eksperymentów, jakie w dyktatorski sposób inscenizowane są w różnych państwach, ale uważa je za konieczność ewolucyjną przeobrażającego się świata.

Zagadka przyszłości sowieckiej, zagadka przyszłości faszyzmu, hitleryzmu, gospodarczych eksperymentów amerykańskich i t. d., a wśród tego i zagadka naszej polskiej przyszłości, zwłaszcza ustrojowo-gospodarczej — oto, co nas absorbuje i niepokoi. A nad tem wszystkiem unosi się suwerenny, uznany powszechnie prąd, będący najwybitniejszem piętnem przeżywanej epoki: szukanie nowych form ustrojowych we wszelkich dziedzinach.

Czy tak jest w istocie? Czy prawdą jest, że z całego obecnego chaosu i wiru dążeń, pojęć i eksperymentów, wdrażanych przeważnie pod przymusem, istotnie jakiś nowy świat się wykłuwa? Czyż przyszłe pokolenie żyć i pracować będzie rzeczywiście w integralnie zmienionych warunkach? Czy zwłaszcza w dziedzinie ustroju gospodarczego dokonywują się istotnie jakieś przewrotowe, trwałe zmiany pod obuchem nędzy, bezrobocia, etatyzmu i różnych dyktatorsko-nowatorskich pociągnięć?

Vox populi, nawet elity, twierdzi, że tak. Wskazuje się na głębokie zmiany, które przed naszemi oczyma zachodzą, na powszechny rozpęd ku nowym formom, stwierdzonym już nawet i naukową argumentacją. Ale czy to może nie pozory tylko, czy nie chwilowe tylko kłębowisko, wywołane zawieruchą wojenną i jeszcze gorszą powojenną?

Trzeba to spokojnie zbadać, z możliwą trzeźwością i objektywizmem, któremi tak się chełpi nowoczesna analiza i krytyka. Bo ostatecznie największy nawet oportunizm, poddający się biernie falom wypadków, winien zdawać sobie jednak sprawę, dokąd fale te mniejwięcej zmierzają i na jaki brzeg mogą ludzkość wyrzucić?

Mamy więc przed oczyma przedewszystkiem różne wcielenia doktryny i taktyki ustrojowego przymusu w polityce i gospodarstwie. Każda zbiorowość, a zwłaszcza tak wielka, jaką jest państwo, musi stosować w różnych dziedzinach, w większym lub mniejszym stopniu, zasadę przymusu. Inaczej byłaby anarchja, a nie byłoby państwa. Ale w obecnych czasach zasada przymusu przekroczyła bardzo daleko granice dawniejszych pojęć o państwowości. Gdy bowiem dawniej przymus państwowy ograniczał się przeważnie tylko do utrzymywania ładu i porządku oraz do zadośćuczynienia t. zw. koniecznościom państwowym—choć nieraz dość szeroko pojmowanym — to obecnie zasada przymusu rozciągnęła się na gwałtowne stwarzanie indywidualnego szczęścia i dobrobytu obywatelom, bez względu na to, czy tego chcą lub nie chcą, czy obrana droga daje istotnie korzyści lub straty i czy rzeczywiście szczęście jednostki da się tą dziwną metodą socjalno-gospodarczego przymusu, gwałtu i przemocy państwowej sztucznie wyprodukować.

— Masz być szczęśliwy! — nakazuje państwo każdej jednostce i wali ją w kark obuchem. A w rezultacie mija rok za rokiem, już nawet dziesięciolecie jedno za drugiem, a ludziom coraz gorzej pod panowaniem uszczęśliwiającego

gwałtem państwowego przymusu. A przymus ten wyraża się przedewszystkiem w tysiącznych nakazach i zakazach, w coraz dalej idącem krępowaniu już nietylko swobody indywidualnej, ale i wogóle możności produktywnej pracy. Państwo usprawiedliwia rosnący ten system koniecznością dzieła sprawiedliwości społecznej. Ponieważ—tłomaczy—tylu a tylu jest biednych, cierpiących i bezrobotnych, więc dlatego całą resztę trzeba zmusić, przycisnąć i skrępować. Ponieważ dalej państwo ma pewne potrzby, a nadto i obowiązek produkowania obywatelskiego dobrobytu, więc dlatego trzeba zaaresztować niejako wszystkie dziedziny pracy, twórczości, nawet myśli ludzkiej i wtłoczyć je w karby i więzy państwowego przymusu, aby tym sposobem ogół był planowo, ustawowo szczęśliwy.

Oto właściwe tło całego dzisiejszego przełomu i eksperymentu, inscenizowanego już nietylko na państwową, ale niemal i na ogólno-światową skalę. Przypomina mi to powiastkę z czasów dawnego pruskiego militaryzmu.

Wraca z manewrów oddział żołnierzy, zmęczony, zziajany, okryty kurzem, przygnieciony ciężarem ładunku i rynsztunku. Przejeżdża galopem generał. — Dlaczego ludzie nie śpiewają? — woła na komendanta. — Żołnierz winien być zadowolony w służbie, trzeba mu zrobić przyjemność, pozwolić coś wesołego zaśpiewać!

Komendant daje więc rozkaz śpiewu. Ze zmęczonych gardzieli dobywa się jakaś mętna melodja w takt człapania znużonych nóg po szosie. Ludzie klną w duszy, bo po dwóch dniach wysiłku i nieprzespanej nocy każdy wzdycha tylko do zrzucenia tornistra, do łóżka, posiłku i spokoju. Ale jak rozkaz, to rozkaz! Jakiś biedak jednak, słabszy od innych, zgięty pod ciężarem tornistra, nie może już wydać głosu. Baczny na wszystko sierżant przyskakuje do niego i waląc go pięścią w kark, krzyczy: Śpiewać masz, draniu jeden, dla twojej własnej przyjemności masz śpiewać!

Oto dosłownie, jak pojmują nowoczesne doktryny państwowe i społeczno-gospodarcze uszczęśliwienie ludzkości w imię postępowych haseł sprawiedliwości i humanitaryzmu! I ten właśnie doktrynerski system przymusowego postępu — a raczej postępu w przymusie — stanowi podłoże zarówno t. zw. praw nabytych, jak tendencji „szukania nowych dróg ustrojowych", jak wreszcie uniwersalne lekarstwo na niedomagania gospodarcze. Nic więcej nie potrafi ani ludzkość cała, ani ci, którzy nią rządzą, ani oficjalna wiedza prawniczo-ekonomiczna, ani uszczęśliwiacze wszelkiego rodzaju i kalibru. A że przymus uszczęśliwiania, połączony z chorobliwą manią szukania nowych dróg we wszystkiem i za wszelką cenę — czy potrzeba, czy nie potrzeba — może być narzucony tylko sztucznym eksperymentem, więc świat cały roi się i kłębi od coraz nowszych, coraz bardziej gorączkowych, upartych, bezwzględnie forsowanych eksperymentów, które wyciąga ze swej teki każdy niemal świeżo mianowany minister w imię przymusowego szczęścia, zdrowia i pomyślności swych poddanych, no i — w imię własnej efemerycznej chwały.

Otóż ogólna suma tych wszystkich postępowych eksperymentów ustrojowego, socjalnego i gospodarczego przymusu składa się w umysłach ogółu — ale i w umysłach wielu naukowców i czołowych polityków — na wytworzenie powszechnego pojęcia, a raczej wrażenia, że ludzkość znajduje się na przełomie, że „szuka nowych dróg ustrojowych".

A nam się wydaje, że niemasz żadnego przełomu, żadnych narodzin nowego ładu i porządku, żadnych specjalnych dążeń do jakiegoś nowego, specjalnego ustroju, niemasz nawet żadnych twardych praw nabytych (bo co ktoś nabył, to może każdej chwili stracić) — ale że poprostu burzy się ciągle jeszcze, jak się ktoś trafnie wyraził, młode piwo powojenne. Burzy się, przelewając się nieraz ponad brzegi, wbrew prawom przyrody, a raczej pozornie

wbrew tym prawom, które zdaje się gwałcić. Proces wybitnie przejściowy. Nie trzeba się nim przejmować, nie trzeba dać mu się porwać, nie trzeba traktować go na serjo. Trzeba natomiast uspokoić własne nerwy, nałożyć wędzidło swej fantazji i zaczekać spokojnie, aż piana na piwie opadnie. Wtedy można je będzie pić spokojnie, ze smakiem, jak w dobrych czasach przedwojennych, do których tak wszyscy wzdychają.

Bo ona opadnie na pewno, prędzej czy później. Jesteśmy przecież dziećmi przyrody, a przyroda ta ma swoje prawa. Nowych my, ludzie, stworzyć nie możemy, Możemy wymyślać ustawy, ale nie jesteśmy w stanie tworzyć nowych praw zasadniczych. Możemy à outrance tworzyć tylko pozory tych praw, które jednak, jako przeciwne przyrodzie, muszą być szkodliwe i prędzej czy później załamywać się muszą i wchodzić do lamusa historij.

Może człowiek, zapoznając zdrowy sens rzeczy, usiłować przez czas pewien przeciw prądowi płynąć. Może dla jakichś sztucznych haseł etatystycznych, czy gospodarczych, czy społeczno-doktrynerskich, czy dla ochrony pewnych interesów egoistyczo-partykularnych ustalać normy na fikcji, że dwa razy dwa nie jest cztery. To się na nic nie zda. Człowiek, nawet chwilowy mocarz, nawet najpotężniejszy chwilowo ustrój i organizm państwowy, nie są w stanie zwalczyć trwale przyrody. To nonsens pomyśleć coś podobnego.

I dlatego wydaje nam się, że realne wymagania życia załamią stopniowo wszelakie wybryki sztucznej postępowości i eksperymentalizmu i skierują ludzi z powrotem na naturalne tory. Sztuczna postępowość i doktrynerskie nowatorstwo już przecież w ostatnich czasach mocnego doznały hamulca. Zwyciężać zaczynają wszędzie dawniejsze, zdrowsze, naturalniejsze zasady, z pewnemi tylko tu i ówdzie korektywami, które praktyczne doświadczenie i naturalny rozwój cywilizacji przynoszą. Ale wszelka hipertro-

fia, wszelka przesada zaczyna łamać się, ośmieszać i jałowieć pod wpływem nauki życia i żelaznych praw przyrody.

Stwierdzić można nawet, że wbrew ogólnej opinji i tendencji, nie tworzy się żaden świat nowy, ale przeciwnie: nowy, sztuczny, nietrwały powstał chwilowo po wojnie, zrobił dużo złego, ale i nauczył ludzi niejednego dobrego i teraz wraca wszystko zwolna do dawnego porządku. Nie jest to więc zmierzch starego świata, jak to usiłują w siebie i w innych wmówić niektórzy, ale odrodzenie — z pewnemi korektywami — świata dawnego, zburzonego moralnie i gospodarczo w ogniu huraganowym wojny światowej i przygłuszonego sztucznemi koncepcjami uszczęśliwiającego przymusu, wyrosłemi nad mogiłą poległych wśród drutów kolczastych.

Dlatego też ze spokojem winniśmy patrzeć na wybryki wszelkiej polityki przymusu w postaci bolszewizmu, faszyzmu, hitleryzmu i różnych innych politycznych „izmów". Ze spokojem możemy również obserwować tragikomiczne zapasy etatyzmu, fiskalizmu, amerykanizmu i innych gospodarczych „izmów" z przyrodą. Prawda, że zadają one wszystkie srogie cięgi ludzkości i nietylko nie naprawiają, ale pogłębiają kryzys ustrojowy, społeczno-gospodarczy i psychiczny. Starają się one wszystkie zniszczyć zwłaszcza jedną rzecz, która ich dyktaturze przeszkadza: naturalne prawo i tendencję człowieka do swobodnego zarobku. Bo w gruncie rzeczy o to chodzi. Ponieważ jeden cierpi z dopustu losu lub własnej winy, więc, aby mu pomódz, niech cierpi i drugi. Oto najgłębsza kwintesencja wszystkich nowoczesnych „izmów", czyli doktryn społecznego lub państwowego przymusu. Co za aburd! Więc dla poratowania jednego z dwóch trzeba zniszczyć obu!

I w tym nielogicznym quasi aksjomacie nowoczesnego pseudo-humanitaryzmu przebija najwymowniej sens, a ra-

czej nonsens powojennego eksperymentalizmu, całego doktrynerstwa kolektywnego przymusu.

Otóż, mimo wszystko, zdaje nam się nie ulegać wątpliwości, że w tendencjach gospodarczych zwycięży wkońcu umiarkowany liberalizm, a we wszystkich innych także zdrowy rozsądek. Niepodobna przypuścić, aby w oświeconym wieku dwudziestym miały zapanować trwale nielogiczne, nietrzeźwe idee ciemnych doktryn i przesądów. Mimo psychozy sztucznego postępu i apostołów kolektywnego przymusu, naturalne prawa swobody indywidualnej, zarobku, wymiany, podaży i popytu utorują sobie wolną drogę. Potrwa to dłużej lub krócej, zależnie od tego, czy ludzie prędzej, czy później zmądrzeją. Ale że nastąpi, to pewna.

A z tem razem zwyciężać będzie duch nad materją. Dzisiaj bowiem jeszcze w dziełach, tendencjach i eksperymentach ludzkich materja góruje. Dowodem tego panowanie skrajnie materjalistycznych, utylitarystycznych, gospodarczych dążności na świecie, popędzanych nadmierną, nieprzytomną zachłannością kupiecką. Z niej to pochodzi ta ogólna, destruktywna nieufność międzynarodowa i wyścig w zbrojeniach i dozbrojeniach, forsowany wśród zabawnej komedji rozbrojeniowej. Główną jego sprężyną jest tendencja do ochrony zysków handlowych i zdobycia nowych obszarów eksploatacji gospodarczej. A na innym końcu tego materjalistycznego odcinka widzimy niebywały przedtem w podobnej skali kult mięśni: hipertofję sportu. Popisy fizyczne, nieraz brutalne w swem założeniu i metodzie, przybrały rozmiary najważniejszej propagandy narodowej i międzynarodowych ewenementów. W nich skoncentrował się — rzec można — duch czasu, duch współczesnych dziejów. Wszak daleko lepiej znamy dziś nazwiska różnych przygodnych sportowych zwycięzców, którzy po świecie roznoszą kopnięciem piłki lub wybiciem pięścią zębów „chwałę swojej ojczyzny“, niż nazwiska lu-

dzi prawdziwej zasługi. Na te popisy za biletami wstępu różnych przygodnych nicości, absolutnie niezdolnych najczęściej do najskromniejszej twórczej pracy, wysila się dzisiaj honor i najżywsze zainteresowanie wszystkich państw świata. Na nic prawdziwa praca, talent i zasługa — to wszystko jest w niełasce, a jeżeli wyjątkowo łaski w opinji publicznej dostąpi, to chyba tylko za czyjemś poparciem i protekcją. Sportowiec protekcji nie potrzebuje; pierwszy lepszy nieuk, analfabeta, czeladnik, czy posłaniec, zapisuje się do „drużyny" i otwierają się przed nim łamy największych dzienników, otwierają drzwi najwyższych dygnitarzy, asystują przy jego popisach przedstawiciele rządów, sławią go gratulacyjne depesze najwyższych dyplomatów jego kraju.

Czy nie jakiś sen koszmarny, niesamowity?

Ale i to skończy się, znudzi się ludziom. To też tylko owa piana burzącego się piwa. Taktyczna bezużyteczność i anomalja tego fizycznego szału — logicznego następstwa wszechwładzy materjalizmu — musi wkońcu zwrócić na siebie uwagę i otrzeźwić umysły. A wówczas będzie służyć sport swemu właściwemu celowi, t. j. rozrywce i higjenie, a zejdzie z dzisiejszego piedestału.

I podobny los czeka wszystkie inne, poważniejsze lub mniej poważne porywy i wybryki rozwichrzonego zawieruchą powojenną umysłu ludzkiego. Ludzie muszą zmądrzeć i trzeźwiej, spokojniej sytuację oceniać.

Przyznać trzeba, że Polska dzisiejsza, w porównaniu z wielu innemi państwami, stanowczo mądrzejszą się okazuje. I ona przechodzi oczywiście generalną epidemję „szukania nowych dróg". Ale można z uznaniem obserwować, jak się z tej choroby sama leczyć zaczyna.

Przedewszystkiem leczy się dość szybko z kultu obcych doktryn i etranżerów. Przestaje nam imponować to, co obce. Zyskujemy na poczuciu naszej własnej mocy. A to przecież podstawa, bo ułatwia nam objektywną re-

fleksję. Jeszcze kilka lat temu pierwszy lepszy cytat dziennikarski, czy odczytowy, czy książkowy jakiejś zagranicznej wielkości — która często była małością w swym własnym kraju — zamykał u nas dyskusję w sprawach politycznych, naukowych, czy gospodarczych. Dzisiaj jest już inaczej. Przekonaliśmy się, jak wielu z tych etranżerów zapadło się w nicość, zbankrutowało moralnie czy materjalnie, a nawet stanęło przed kratkami sądów. Zaczynamy więc myśleć sami o sobie. To już dobrze.

Następnie, o ile nam już wiadomo, projekt nowej konstytucji nie narzuca Polsce żadnego „izmowego" ustroju, nie poddaje się żadnym nowoczesnym doktrynom kolektywnego przymusu, ale poprostu wprowadza tylko pewne zmiany i korektywy, które w dzisiejszych warunkach uważa za pożyteczne ze swobodnego, trzeźwego punktu widzenia. I w tem duch Polski ma stanowczo rację i kapitalne odnosi zwycięstwo nad psychozą nowoczesnego nowatorstwa. A to już bardzo dobrze. Obawialiśmy się bowiem, że pewne prądy etatystyczne zwyciężą i na fałszywe zepchną przyszłość państwa tory. To się nie stało, zwyciężył zdrowy rozsądek, poczucie konieczności stosowania umiarkowanego liberalizmu.

Trzeba więc jeszcze tylko głębszego i powszechniejszego przeświadczenia, że z gruzów wojny światowej żaden zasadniczo nowy duch i żaden nowy, trwały ustrój polityczny czy gospodarczy się nie zrodzi i nam — nie grozi. Ważną jest ekspansja tego przeświadczenia, skoro nawet różni nasi uczeni i wogóle erudyci porwać się dali zbyt łatwo panującym chwilowo nastrojom. Czego to nie naczytaliśmy się w tysiącznych naukowych wydawnictwach w ciągu ostatnich kilkunastu lat! Jakżeż pohopnie rzucono się na płodzenie i argumentowanie różnorodnych koncepcji, syntez i proroctw, dotyczących nowych dróg i norm ustroojwych, które rzekomo ma rozbudowywać świat powojenny! Jakoś teraz o tem wszystkiem coraz

ciszej. Prorocy milkną. To również bardzo dobrze. Trzeba jeszcze tylko, aby silna tendencja powrotna do „dawnych, dobrych czasów“ powszechniej i wyraźniej się ujawniła. Trzeba lepszego przeświadczenia, że to, co w tej chwili jeszcze przeżywamy, to nie jest rozbudową nowego świata, ale poprostu tylko odbudową dawnego, zniszczonego w znacznej części wojną i powojennym nastrojem rewolucyjnym.

Mówiąc obrazowo — przenieśliśmy się od dwudziestu prawie lat ze zniszczonego granatami solidnego domu na czasowy pobyt w dorywczo skleconym baraku, który usiłowaliśmy urządzać sobie „nowocześnie“, przekonywani przez różnych zawodowych postępowców, że już nigdy do dawnych ruin nie wrócimy. Zaczęliśmy więc malować prowizoryczny barak różnemi farbami w przekonaniu i fantazji, że są to barwy „nowego jutra“.

Tymczasem powojenny barak próchnieć zaczyna, farby blakną, piece dymią, a nam za kołnierz się leje. Stwierdzamy oczywistą prowizoryczność powojennego mieszkania i związanych z niem planów i nadziei. Okazały się szkodliwe. Wracamy więc do solidniejszych murów, chwilowo wzgardzonych w naszym nowatorskim rozpędzie i zaczynamy zwolna budować je na nowo.

Mnożą się zresztą coraz wymowniejsze przykłady nawrotu do mniejwięcej przedwojennych, naturalniejszych, liberalniejszych stosunków, mnożą się od Rosji bolszewickiej [1]) po Stany Zjednoczone; doktryneryzm, eksperymentalizm i zasada przymusu zaczynają wyraźnie bankrutować i ustępować miejsca wymaganiom życia, postulatom praw przyrody. Dzieje się to oczywiście zwolna, po linji bardzo łamanej i wśród najrozmaitszych komplikacji. Ale przeciętna linja wypadkowa wykazuje niewątpliwą dążność

---

[1]) Charakterystycznym symptomem jest m. in. nowa reforma szkolnictwa bolszewickiego w kierunku nawrotu do systemu „burżuazyjnego“, z przywróceniem filologji klasycznej i innych nauk humanistycznych.

w tym kierunku. Dzieje się nawet więcej, bo różne doktryny postępowe, w które w czasach przedwojennych wierzyły szerokie masy i które wówczas wybijały się gwałtownie na wierzch z młodocianym rozpędem, obecnie więdną już zużyte, wyjałowione, co ułatwia tembardziej nawrót do pojęć zdrowszych, realniejszych, twórczych. Wszak załamał się już nawet socjalizm, który niedawno jeszcze wywierał tak wielki wpływ na ludy i rządy; odstępuje gdzieniegdzie nawet już oficjalnie od marksowskiej doktryny, uzgadnia się z potrzebą uczuć religijnych i przechodzi w zwykły ruch ochrony interesów robotniczych. I wogóle silny nawrót do religii akcentuje się na całym świecie, mimo oporu różnych doktryn i chwilowych form ustrojowych, które usiłują temu przeszkodzić. A zwrot do zasad religijnych przynosi ze sobą już sam przez się wyzwolenie z ludzkich doktryn kolektywnego przymusu. Religja, nakładając jednostce pewne więzy moralne, wyzwala ją za to w znacznym stopniu z pęt nadmiernego ludzkiego przymusu, stwarzanego sztucznie przez etatyzm i eksperymentalizm ustrojowy.

Równocześnie zaczyna zwolna wracać przeświadczenie o trwałości pewych zasad fundamentalnych, z prawem własności prywatnej na czele. Chwilowy bowiem rozpęd nowatorski wstrząsnął powszechnie, we wszystkich warstwach społeczeństwa, przekonanie o trwałości jakiejkolwiek zasady. Zagnieździła się wiara, że wszystkie podstawy cywiilzacyjnego porządku są płynne, że wszystko podlega ewolucji. Powstał chaos, w którym nikt w końcu nie wiedział, czego się trzymać i jakie obrać tory. Zapanował wielce niebezpieczny oportunizm, ułatwiający niezmiernie ekspansję wszelakich doktryn i zakusów wywrotowych, antymoralnych. Pod tym wpływem rozpowszechniała się fatalistyczna wiara, że cywilizacja zmierza nieuchronnie, choćby na ogół bezkrwawo, w objęcia komunizmu.

A tymczasem okazuje się zwolna wprost przeciwny rezultat wypadkowy. Świadomie lub podświadomie przychodzą ludzie i państwa do przekonania, że pewnych praw i podstaw cywilizacyjnego porządku łamać sztucznie nie można bez ściągnięcia katastrofalnych wyników. Zaczyna rozumieć to już i reżim bolszewicki po wielu nieudałych próbach i ewoluuje zwolna w stronę pewnego liberalizmu. A gdzieindziej nadwyrężone mniej lub więcej zasady prawa własności zaczynają wracać do coraz większego uznania. Okazuje się, że nie wszystko podlega ewolucji — jak to twierdzą dziś jeszcze niektórzy, nawet umiarkowani, ale uparci doktrynerzy — ale że istnieją pewne zasady trwałe cywilizacyjnego rozwoju, które w życiu publicznem i prywatnem traktować trzeba sub specie aeternitatis.

Tak więc dla każdego, nieco baczniejszego obserwatora wraca wszystko stopniowo do mniejwięcej dawnego porządku. Wyrazistość tego korzystnego, naturalnego procesu zacierają jeszcze ustroje i zakusy eksperymentalne, programy przeforsowania przymusem różnych dziwacznych ustrojów „uszczęśliwiających“, oraz dotkliwy kryzys gospodarczy. Cierpiąca pod tym potrójnym ciężarem ludzkość nie zdaje sobie powszechnie sprawy, że to tylko ostatnie (a może przedostatnie) podrygi rozhukanego powojennego rozmachu i uważa to, co się dzieje, za narodziny jakiegoś całkiem nowego świata. Powszechne złudzenie, gdyż proces jest wprost przeciwny i inaczej nawet być nie może. Chwilowy bowiem rozpęd doktrynerski poszedł, jak doświadczenie wykazuje, w kierunku dla ludzkości szkodliwym. A natura ludzka, jak i prawa przyrody, nie zniosą na dłuższą metę prądu, zasadniczo szkodliwego. Można tamować i zmieniać rozmaicie bieg rzeki, ale niepodobna zmienić w przeciwnym sensie jej kierunku od źródła do ujścia. Przełamie tamy i płynąć będzie, jak dawniej.

Oczywiście, nie chcemy przez to twierdzić, że się nic na świecie nie zmieni. Owszem, zmieni się dużo. Wszak po-

stęp cywilizacyjny robić musi swoje. Ale będzie to postęp naturalny, organiczny, bez sztucznych eksperymentów, forsowania i przymusu. Wrócą tylko zdrowe pojęcia zasadnicze, zdemaskowane zostaną ostatecznie różne oszustwa ideowe i ustrojowe, które ludzkość długo łudziły. Muszą wrócić „lepsze czasy".

Uważamy to za niewątpliwe, choćby nam nawet zbytni zarzucano optymizm. Chodzi tylko o to, aby powrót zdrowych zasad i lepszych warunków bytu możliwie przyśpieszyć, aby mu dopomódz odpowiednią, uświadamiającą propagandą, a nie utrudniać i opóźniać trwaniem w wierze narodzin nowego, nadzwyczajnego porządku. Dużo zależeć będzie w tym względzie od należytej orjentacji, tężyzny i energji sfer wyższego intelektu. Jeżeli one trwać będą w narkozie doktryn, narzuconych im przez t. zw. „zwycięską w wojnie światowej demokrację", z tem wszystkiem, co ona bezpośrednio lub pośrednio przyniosła i spłodziła, jeżeli małodusznie powtarzać będą nowatorskie hasła i frazesy, wybujałe na tle powojennego chaosu i traktować wszystkie spłodzone przez nie absurda, jako rzekomo niewzruszalne „prawa nabyte postępu", to oczywiście pogłębiać będą chwilowy upadek ludzkości i opóźniać dotkliwie, a karygodnie proces naprawy.

Niechże rozszerzy się i ugruntuje świadomość efemeryczności wielu rzeczy, które tylko niezdrowa atmosfera stosunków powojennych — a więc okresu przejściowego — stworzyła. Niech zwłaszcza uprzytomnią sobie ludzie wyższej erudycji i kultury, że w głębszej istocie rzeczy, mimo wielu przeciwnych pozorów, cała ludzkość, we wszystkich swych warstwach, ma już dość uszczęśliwiających, przymusowych, nowatorskich eksperymentów i wzdycha do powrotu normalniejszych stosunków w przedwojennym mniejwięcej stylu. Niechże uświadomią sobie, że te różne urządzenia ultra-postępowe, „prawa nabyte" i „szukanie nowych dróg", to tylko domki z kart, które jeden silniej-

szy, decydowany podmuch opinji może dzisiaj już bez większego trudu obalić. Wszak czynią to w różnych krajach rządy dyktatorskie, oparte zwykle na autorytecie jednego człowieka o zdecydowanej woli. Czynią to raz po raz i — ogół przyjmuje bez szemrania, ba, nawet potwierdza plebiscytem.

A przyjmuje i potwierdza nie dlatego, żeby spodziewał się po nich czegoś całkiem nowego, nieznanego, ale właśnie dlatego, że ma nadzieję przywrócenia „dawnych, dobrych czasów“. Pozory są może inne, ale to tylko pokost frazeologiczny lub formalistyczny, pod którym nurtuje głębsza tendencja porzucenia powojennego nowatorstwa, które same tylko przyniosło klęski.

Oto właściwa istota owej spopularyzowanej tendencji „szukania nowych dróg ustrojowych“ w życiu politycznem i gospodarczem i w innych dziedzinach. Nie nowych dróg szuka zmasakrowana i zgnębiona powojennymi stosunkami ludzkość, ale pragnie po prostu odnaleźć dawne drogi — oczywiście w poprawniejszem wydaniu.

I w tem winien każdy, świadomy sytuacji, dopomódz piórem, słowem i czynem.

**Eugenjusz M. Schummer**

(na podstawie dyskusji w Kole przyjaciół „Naszej Przyszłości“).

---